TYGODNIK ŁÓDZKI

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Rok VI
Łódź, 1. XII. 63.
Nr 48 (300)
Cena — 1 zł.

odgłosy

29 XI
— święto
FEDERACYJNEJ
LUDOWEJ
REPUBLIKI
JUGOSŁAWII

GRAŻYNA BODZIOCH

BEŁCHATÓW NA NOWO ODCZYTANY

Jeszcze kilka lat temu Bełchatów był miasteczkiem jakby wyjętym ze złego snu. Smutnego snu o beznadziejności prowincji, ze wszystkimi jej typowymi przejawami. Z panami Aptekarzem, Doktorem i Prezesem grającymi co czwartek w brydża. Z popołudniowymi spacerami w niedzielę po sumie... Z tradycją (chyba jeszcze sarmacką?) bogatych pogrzebów i ubogiego życia.

Po roku 1945 głównym ulicom Bełchatowa nadano co prawda nazwy wywodzące się z tradycji naszych narodowych zmagań (Kościuszki, i Odrodzonego Wojska Polskiego), ale nie zmieniło to faktu, że większość domów przy tych ulicach to brzydkie i małe kamieniczki nadające miastu wygląd ubogi i prostacki. Są one bowiem zbyt nowe, aby cieszyły oko stylową ornamentyką, a zbyt stare, żeby posiadały kanalizację...

W sobotnie, letnie popołudnia, jak nakazywał miejscowy obyczaj przedstawiciele starszego pokolenia wysiadywali na balkonikach wybiegających nad kocie łby ulic. Kto nie miał balkonu, oddawał się kontemplacjom w oknie — opierając dostojnie łokcie na kolorowych poduszkach.

— O czym mówiono? Trudno to dziś dosłownie odtworzyć. Ale pewnie były to rozważania na temat pogody, najbliższych ślubów i urodzin, być może, że dyskutowano też o tym jak dobrze by było mieszkać w takiej Łodzi, a nie w miasteczku, które już nawet nie czeka na swoją szansę...

Wątpliwe natomiast, czy tematem rozmów była sytuacja gospodarcza albo historia ruchów robotniczych. Chociaż Bełchatów, jako stare miasto włókniarzy (przed wojną było tam kilkanaście małych fabryczek, a w każdym mieszkaniu stało krosno), miało bogate robotnicze tradycje, historyczne obchody Święta Pracy.

Ożywienie nastąpiło z decyzją o utworzeniu w Bełchatowie powiatu, czego następstwem było w pierwszej kolejności wzniesienie budynków Powiatowego Prezydium i restauracji „Jubileuszowa", a następnie — tak! To największe z wydarzeń powojennej gospodarki — budowa zakładów bawełnianych zatrudniających dziś przeszło 2 tysiące pracowników. Wszystko, co zrobiono w mieście w ciągu ostatnich lat jest następstwem tamtych dwóch decyzji — utworzenia powiatu i budowy „bawełnianki".

A zrobiono niemało — oto „przynależny" do zakładów pierwszy nowoczesny blok mieszkalny (parkiety, c.o., ciepła woda — całość zwana „ambasadą"). Oto złożone z czterech bloków osiedle przy ul. 1 Maja, nowy budynek Liceum, stojąca już „pod wiechą" Szkoła Tysiąclecia, podciągnięta pod strop nowa przychodnia lekarska.

Stawiano więc na „bawełniankę", w latach jej budowy dyrektor tej inwestycji inż. Maszerkowski uosabiał wszystko co „nowe" w mieście i okolicy... Wielki nowoczesny zakład stał się nie byle jaką szansą. Dzięki niemu Bełchatów nareszcie odniósł generalne zwycięstwo nad Grocholicami (hi-

Dalszy ciąg na str. 4

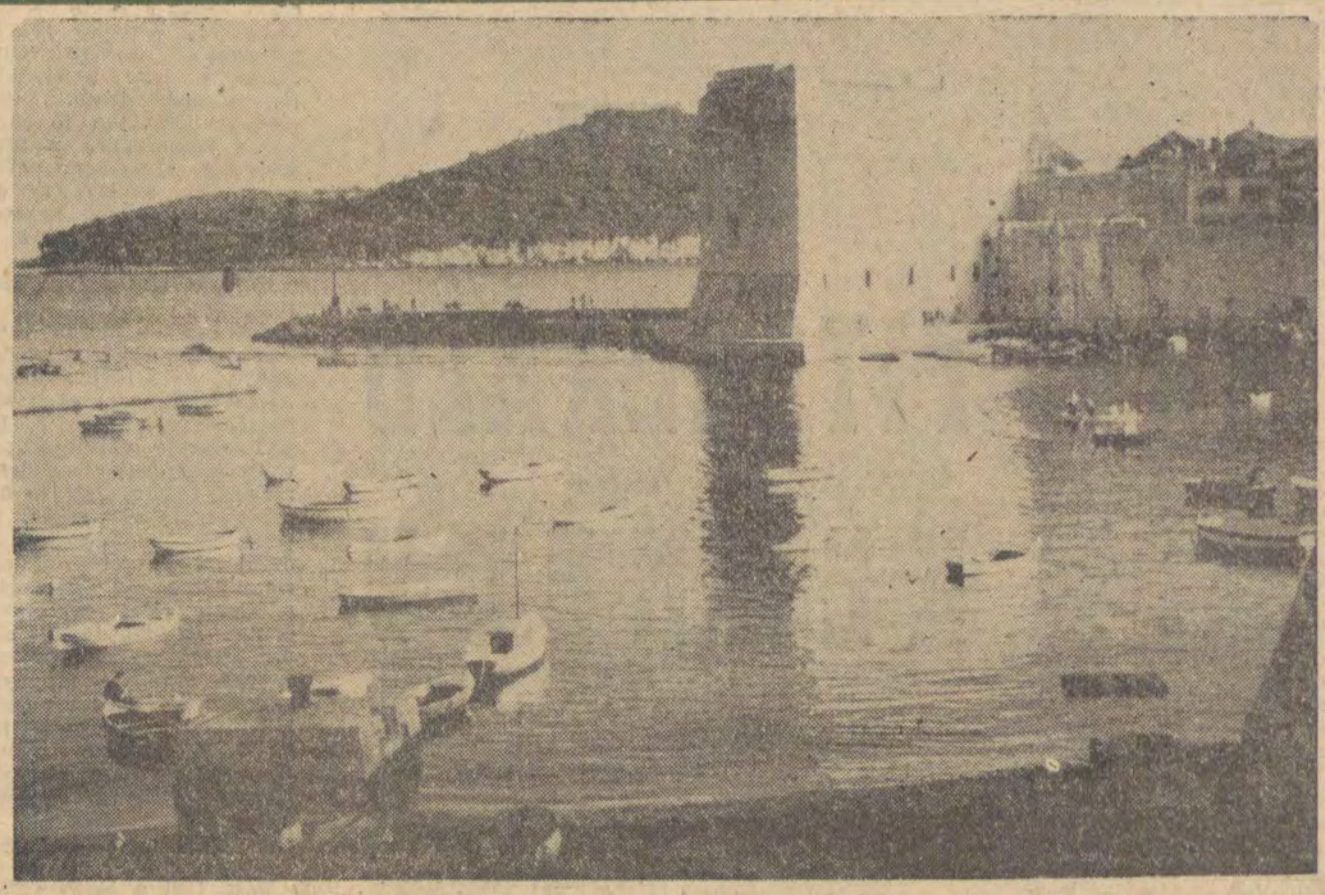

Dubrownik
Foto. K. Nowak

MAŁGORZATA CZAJKOWSKA

2 tys. kilometrów przez Jugosławię

MORZE ze słońcem w HERBIE

Odprawa celna w punkcie granicznym węgiersko - jugosłowiańskim zarówno po jednej jak i drugiej stronie trwa bardzo krótko. Jugosłowiański celnik bardzo przystojny, w nienagannie skrojonym szarym mundurze życzy nam dobrej pogody i dużo miłych wrażeń. Pogoda jednak początkowo nie dopisała. Zagrzeb — stolica Chorwacji — powitał nas deszczem. Kierownik wycieczki — pracownik Łódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki zapewnił jednak blisko 40-osobową grupę przedstawicieli Łodzi, że nad Adriatykiem czeka nas wyłącznie słońce. Od tego momentu dzieliły nas jeszcze 3 dni i blisko 700 km drogi autokarem Sports-Touristu.

Zagrzeb widziany z okna autokaru mimo zapłakanej pogody zrobił na łodzianach przyjemne wrażenie. Przejeżdżaliśmy m.in. obok ogromnych, największych i najnowocześniejszych przedsiębiorstw przemysłowych Jugosławii, kombinatu elektrotechnicznego. Polska jest odbiorcą 15 procent eksportowej produkcji tej fabryki. Kupujemy stąd przede wszystkim wyposażenia elektryczne dla statków. Widzieliśmy też z zewnątrz olbrzymią fabrykę samochodów i maszyn rolniczych i mijaliśmy tereny wystawowe, gdzie co rok odbywają się międzynarodowe targi. Nasza grupa spożywała obiad w jednym z najelegantszych i najnowocześniejszych hoteli Zagrzebia. „Internationalu". Dodatkiem do drugiego dania była sałatka z papryki. Jak się później okazało ani jeden posiłek nie odbył się bez dodatku tej pikantnej i pełnej witamin jarzyny, do której nasze podniebienie jeszcze nie bardzo zdążyło się przyzwyczaić.

Urocza i urozmaicona pod względem krajobrazu jest droga wiodąca z Zagrzebia do Mostaru, zwłaszcza od miejscowości Banialuka. Krajobraz początkowo przypomina nasze Beskidy. Tylko zupełnie inny styl budownictwa, a szczególnie białe, smukłe wieżyczki meczetów, wskazują na zupełnie inny kraj. Po drodze obok wsi i miasteczek spotyka się egzotyczne obrazki. Kobiety w różnobarwnych, kolorowych szarawarach, prowadzą objuczone osły. Niekiedy na ośle siedzi mężczyzna.

Bania — znaczy łaźnia, Luka — łąka. Banialuka często odwiedzana przez turystów czaruje swą egzotyką — charakterystycznymi meczetami i wschodnim rynkiem pełnym papryki, winogron, brzoskwiń, śliw oraz starannie twierdzą z czasów tureckich, w której znajduje się dziś muzeum regionalne.

W drodze do Mostaru zatrzymujemy się jeszcze w miejscowości Jajce. Tu w reprezentacyjnym lokalu „Bosna" podano nam obfity obiad. Deser stanowiło bardzo słodkie marcepanowe ciasto smażone na oliwie. Ten turecki przysmak nie wszystkim smakował, ale to już rzecz gustu.

Niezapomniane chwile przeżywa turysta w Mostarze. Miasto to ujrzeliśmy po raz pierwszy wieczorem. Niewątpliwie z myślą o przyjezdnych co piękniejsze fragmenty miasta oświetlone są reflektorami. Bajkowo przedstawiają się oczom przybysza stare, różnokolorowe, wąskie domki i biały, obecnie w obramowaniu rusztowań, niezbędnych przy pracach renowacyjnych, zabytkowy turecki most.

W egzotycznej tureckiej kawiarni, która mieści się w grocie, można siedząc w kucki na dywanie pić aromatyczną i mocną kawę podawaną w mosiężnych tygielkach. A później w ciepłą wrześniową noc błądzić po krętych wąskich uliczkach obok meczetów, lub w nowoczesnej części miasta obok oświetlonych wystaw dużych sklepów. Mostar główne miasto Hercegowiny, słynące też z fabryk tytoniu i aluminium utrwala się w pamięci każdego, kto przeżył tu chociaż kilkanaście godzin.

Podróż z Mostaru do Dubrownika trwa blisko sześć i pół godziny. W ciągu tego czasu nasz autokar przebył zaledwie 180 km. Jechaliśmy jednak przez cały czas drogą pełną napięcia, niekiedy nawet z duszą na ramieniu. Autobus ogromny, a droga wąska, przy czym często „kończyła się". Trzeba było

Dokończenie na str. 5

WIESŁAW BEK

JOHN FITZGERALD KENNEDY

Mord popełniony na Johnie F. Kennedy'm — prezydencie Stanów Zjednoczonych A. P. głęboko wstrząsnął opinią publiczną. Zewsząd, jak świat długi i szeroki, do Waszyngtonu napływały serdeczne wyrazy współczucia. W bólu z narodem amerykańskim połączyli się wszyscy, którym droga jest idea pokojowego współżycia między narodami.

Skrytobójczy zamach na życie prezydenta wywołał głębokie oburzenie. W XX wieku posługiwanie się zabójstwem głowy państwa jako **metodą** walki politycznej nie może budzić innego uczucia, jak tylko potępienie. A nikt przecież od pierwszych chwil po tragicznym wydarzeniu nie wątpił, że tło mordu jest właśnie polityczne.

Wprawdzie oskarżony o zabójstwo Lee H. Oswald zginął od kuli i nigdy już nie wyjaśni, kto pokierował tak, by właśnie on znalazł się pod zarzutem przeprowadzenia zamachu — nietrudno przecież odgadnąć, że mordu dokonano z polityczną **premedytacją**. Przekonują o tym liczne fakty, z których przypomnę Czytelnikom tylko nieliczne. I tak:

w tymże samym mieście Dallas, gdzie zginął Kennedy, stały przedstawiciel USA w ONZ A. Stevenson, uchodzący za polityka liberalnego, spotkał się zaledwie przed trzema tygodniami z chuligańskimi wyczynami prawicowców z południa. Ekscesy miały takie rozmiary, że Stevenson uznał za słuszne przestrzec Kennedy'ego przed jego podróżą;

w tragicznym dniu, 22 bm., w Dallas znów odbywały się demonstracje elementów ultraprawicowych. Co więcej — w dzienniku „Dallas Morning News" ukazało się całostronicowe płatne ogłoszenie oskarża-

Dalszy ciąg na str. 2

Dokończenie ze str. 1

jące prezydenta o szerzenie „ducha Moskwy".

Już te fakty rzucają snop światła na **polityczne** tło zamachu i pozwalają przypuszczać, że zabójstwo nie było dziełem szaleńca.

Kto miał powody do niezadowolenia z polityki Johna Kennedy'ego?

Odpowiedź na to pytanie nie będzie trudna, jeśli przypomnimy, że w swej polityce, kierował się **realizmem**, który kazał mu eliminować wojnę ze środków rozstrzygania spornych problemów. **„Zbyt wielu** — mówił 10 czerwca do studentów uniwersytetu waszyngtońskiego — **uważa pokój za nierealny. Jednakże jest to przekonanie niebezpieczne i defetystyczne... Nie powinniśmy akceptować takiego poglądu".**

Ten realizm kazał mu również pchać naprzód sprawę równouprawnienia Murzynów, nawiązywać do dziedzictwa Lincolna.

Reprezentował świat i tendencje — przeciwne naszym. Rozumiał jednak doskonale, że w świecie, który dysponuje siłami mogącymi w niespełna 60 minut unicestwić życie 300 milionów ludzi, słowo: **„porozumienie"** ma szczególny sens.

Był więc politykiem nowoczesnym, mężem stanu, który w swej działalności politycznej kierował się trzeźwą oceną sytuacji. Te właśnie przymioty atakowane były zaciekle przez zwolenników wojny i rasizmu.

„Ironia śmierci prezydenta — pisał na łamach „New York Times" James Reston **— polega na tym, że krótki okres jego administracji poświęcony był niemal całkowicie różnym próbom powściągania rysu gwałtu i przemocy w charakterze amerykańskim... Od początku do końca usiłował nałożyć tłumik na gwałty ze strony skrajnej reakcji...**

Ameryka tej nocy — stwierdzał Reston — **opłakiwała nie tylko swego młodego zmarłego prezydenta, płakała również nad sobą. Ból był powszechny, gdyż najgorsze cechy w narodzie wzięły górę nad najlepszymi".**

„St. Louis Post Dispatch" dodawał zaś:

„Zabójstwo jest tragedią narodową o nieobliczalnych skutkach... Co się dzieje ze Stanami Zjednoczonymi, że istnieje klimat do takiego czynu? Jakaś choroba toczy kraj, jeśli nie potrafi się rozwiązać rozbieżności politycznych w sposób demokratyczny".

JOHN FITZGERALD KENNEDY

John Kennedy nie żyje. 36 prezydentem Stanów Zjednoczonych został dotychczasowy wiceprezydent — Lyndon Johnson. Czy podejmie on dzieło swego poprzednika?

Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie jednoznacznie. AFP charakteryzuje Johnsona słowami: **„jest liberałem z instynktu, a konserwatystą z racji swego południowego pochodzenia".**

Rozważając, jaką drogą pójdzie Johnson, trzeba na szale położyć **przeciwstawne** fakty, charakteryzujące osobę nowego prezydenta.

Zacznijmy od tych, które miałyby przemawiać za kontynuowaniem dotychczasowej linii.

Agencje zachodnie podkreślają, że Kennedy i Johnson ściśle z sobą współdziałali i obecny prezydent nigdy nie zdradził się odmiennymi od Kennedy'ego poglądami. Wkrótce po tragicznym wydarzeniu zwrócił się do członków gabinetu z prośbą, by pozostali na swych stanowiskach. Odbył również spotkanie z Ruskiem i zapewnił go, że zamierza kontynuować politykę zagraniczną swego poprzednika.

Korespondenci zagraniczni zwracają przy tym uwagę na fakt, że Johnson, który uchodzi za specjalistę od polityki wewnętrznej i manewrów parlamentarnych, nie ma doświadczenia w polityce międzynarodowej. Ich zdaniem — polegać więc będzie na tych samych doradcach, którzy pomogli Kennedy'emu w opracowaniu jego programu.

Na przeciwstawnej szali muszą się jednak znaleźć inne fakty.

Lyndon Johnson jest pierwszym południowcem (urodził się w stanie Teksas), który od czasu wojny secesyjnej objął najwyższe stanowisko państwowe.

Do dziś — podkreśla „France Presse" — mimo liberalizmu, jaki go cechuje, utrzymuje nadal ścisłe związki z konserwatystami na południu, gdzie cieszy się dużym autorytetem.

Kiedy na 33 przedwyborczym zjeździe partii demokratycznej Kennedy zaproponował desygnowanie Johnsona jako kandydata na wiceprezydenta, powszechnie oceniano to jako próbę kompromisu z prawicowym skrzydłem partii oraz krok, zmierzający do pozyskania głosów konserwatywnych demokratów z południa.

Która zatem z tych szal przeważy?

Johnson — można przypuszczać — będzie kandydatem partii demokratycznej w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Do wytworzenia własnego „portretu prezydenta" ma więc niewiele czasu. Jest to dla niego tym trudniejsze, że przy tak energicznym, o dużej osobowości prezydencie, jakim był Kennedy, publiczna rola wiceprezydenta pozostawała w cieniu. Aby zatem dać się poznać swoim przyszłym wyborcom — zechce z pewnością od pierwszych tygodni prezydentury rozwinąć **ożywioną** działalność. Przede wszystkim w dziedzinie wewnętrznej, ale — kto wie — może i zagranicznej?

W r. 1961 w Nowym Jorku Johnson wypowiedział następujące zdanie: **„Najwyższa moralność między narodami — to rzetelność wzajemnych porozumień...".** Czy zechce pozostać wierny tej myśli? Czy będzie torował drogę dalszemu odprężeniu, zapoczątkowanemu przez Kennedy'ego? Wykaże to najbliższa przyszłość?

WIESŁAW BEK

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

Od cangaceiro do Lig Chłopskich (2)

CANGACEIRO

Cangaceiro... Zbrojne oddziały pierwszych cangaceirów pojawiły się wkrótce po upadku powstania w Canudosie. Mimo zdławienia przez władze chłopskiej rebelii, niepokój w sertanach Północnego Wschodu trwał. Pamiętajmy o 60 folwarkach puszczonych z dymem przez chłopów za plecami armii oblegającej Canudos, siały też niepokój grupki powstańców, którym udało się wyrwać z okrążenia. Buntownikom brakowało jednak przywódcy, brak było klasowej świadomości, która pozwoliłaby im konsekwentnie zwrócić oręż przeciwko feudałom. „Walka ta — pisze Rui Faco — nie miała charakteru świadomej walki o ziemię, jednakże zdobywszy ziemię **chłopi bronili jej za wszelką** cenę, walczyli zaciekle i bohatersko umierali".

I wtedy to, gdy ruchowi chłopskiemu, rozbitemu i zdezorientowanemu, **groził** upadek, zabłysła gwiazda „padre" (ojca) Cicero, katolickiego proboszcza z Juazeiro w stanie Ceara, w tych samych sertanach, w których leżał Canudos. Niezwykła kariera księdza Cicero zaczęła się jeszcze w latach 90-tych XIX wieku, a trwała aż do jego śmierci przez cztery dziesięciolecia. Zaczęło się od legend szerzonych wśród biedoty wiejskiej Północnego Wschodu o rzekomych „cudach" padre Cicero. Władze kościelne, dbając o czystość wiary, pozbawiły przedsiębiorczego księdza probostwa i zabroniły wykonywania praktyk kościelnych. Ambitny padre wybrał się osobiście do Rzymu do papieża ze skargą na swoich zwierzchników, lecz wrócił do Juazeiro z niczym. Jego autorytet rósł jednak wśród biedoty, która w sporze z hierarchią kościelną stanęła po stronie byłego proboszcza. Co więcej jego zwolennicy, pewni „świętości" księdza — liczba ich doszła do kilku tysięcy — zaczęli się zbroić, przyłączyły się do nich ocalałe z masakry resztki powstańców z Canudosu i tak oto rodził się zbrojny ruch, który zwano „cangaco", a jego członków „cangaceiro". W chwili, gdy chłopi powierzyli swój los w ręce ojca Cicero, antyfeudalny charakter ruchu zniknął. Członkowie ruchu „cangaco" stali się nie tylko narzędziem osobistych ambicji księdza, ale w ogóle narzędziem klik feudalnych toczących walkę o władzę w stanie Ceara i na całym Północnym Wschodzie.

W końcu 1913 roku w Ceara upadł rząd, który od 12 lat znajdował się w rękach feudalnej rodziny Acioli, popierającej latyfundystów w rozgrywce z rodzącą się i rozwijającą burżuazją. Feudałowie obawiali się, że wraz z upadkiem rodziny Acioli władza w stanie może im się wymknąć z rąk. Z ich polecenia przyjaciel ojca Cicero, lekarz i dowódca jego oddziałów Floro Bartolomeo da Costa wywołał bunt w Juazeiro, obalił władze miejskie i rozbroił policją. Popierany przez padre Cicero i cangaceirów oraz po cichu przez feudałów ogłosił się on gubernatorem stanu i wydał „dekret" o przeniesieniu stolicy stanowej z Fortalezy do opanowanego przez siebie Juazeiro. W stanie Ceara zapanowała dwuwładza. Legalny rząd stanowy wysłał przeciw buntownikom lojalne oddziały wojskowe. Tysiące chłopów — cangaceirów okopanych w Juazeiro stawiły zdecydowany opór i podsycane do walki przez padre Cicero — „świętego Cicero", jak go **zwali wyznawcy — rozbiły** wojska. Da Costa, samozwańczy gubernator, poprowadził do walki przez padre Cicero cangaceirów na siedzibę legalnych **władz w Fortalezie.** W stanie Ceara zapanowali na nowo feudałowie plądrujące sertany bandy cangaceirów zdobywały coraz potężniejsze bogactwa dla swoich wodzów, ojca Cicero i da Costy. Ten ostatni, nie zatwierdzony mimo zwycięstwa na stanowisku gubernatora przez rząd centralny, wybrany został przez idące ślepo za nim i za „świętym" księdzem Cicero masy chłopskie deputowanym do parlamentu federalnego Natomiast Cicero zamieniał posłusznych sobie cangaceirów w poddanych i rozsyłał do półniewolniczej pracy w majątkach zdobytych w ogniu walk.

Jeszcze przez dwadzieścia lat cangaceiryzm panoszył się w sertanach. W 1930 roku, gdy wybuchła rewolucja burżuazyjna, sertany północnowschodniej Brazylii zamieniły się w odpowiednik Wandei z czasów Rewolucji Francuskiej: masy chłopskie zaślepione przez „cudotwórcę" Cicero fanatycznie broniły feudalizmu godząc w ten sposób w samych siebie. Prawda o roli cangaceirów w dziele obrony stosunków feudalnych wyszła w r. 1934, wraz ze śmiercią padre Cicero. Oto co pozostawił po sobie ten człowiek mieniący się przywódcą chłopskim: ponad 30 wielkich majątków ziemskich, w tej liczbie 5 doskonale prosperujących fazend hodowlanych, jedną kopalnię miedzi z siłą roboczą złożoną z cangaceirów i szereg domów w Juazeiro. Edmar Morel napisał o nim w swojej książce: „Był to najbogatszy pan feudalny w Cariri".

Kres cangaceiryzmu nastąpił wraz z konfiskatą broni u latyfundystów przeprowadzoną przez rząd będący już teraz wyrazicielem interesów burżuazji. Koniec feudalizmu był końcem cangaceirów. Przez szereg jeszcze lat trwał w sertanach pościg za resztkami band dowodzonych przez Coriseo, Volta Seca i Lampeao. W roku 1937 zniszczona została ostatnia banda cangaceirów dowodzona przez dzikiego watażkę Lampeao, który od przeszło 20 lat pustoszył sertany.

Cangaceiryzm, to specyficznie brazylijskie zjawisko, ma dziś w pewnej mierze swój odpowiednik w Kolumbii, gdzie „bandoleryzm" wyrosły na podłożu wojny chłopskiej w latach 1949 — 1958 rzuca ponury cień na antyfeudalną walkę wsi kolumbijskiej i odradzający się ruch partyzancki.

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

CYPRIAN JAWORSKI

„Urbanistyka — mówi Cyprian Jaworski — ma piękne i stare, bo sięgające czasów starożytnych tradycje. W naszej cywilizacji od Greków i Rzymian, poprzez Wieki Średnie i Renesans hołdowano pewnym, choć w każdym przecież wieku nieco innym, zasadom racjonalnego rozmieszczenia przestrzennego większych skupisk ludnościowych. Dopiero w XIX i w początkach XX wieku te zasady zostały zaniedbane. Miasta rozbudowywały się przypadkowo, nie podporządkowane jakiejś racjonalnie rządzącej lokalizacją budynków i miejsc użyteczności publicznej — myśli urbanistycznej. Wynik, to dla przykładu gęsta zabudowa śródmieścia, wadliwy układ i wąskość ulic, lokalizacja fabryk tuż obok budynków mieszkalnych itd. Dziś każde miasto rozbudowuje się i przebudowuje według z góry przez architektów-urbanistów zaprojektowanego planu, zgodnie z założeniami współczesnej urbanistyki".

Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, rodowity łodzianin — inżynier Cyprian Jaworski jest kierownikiem Miejskiej Pracowni Urbanistycznej. Pod jego kierunkiem powstają plany pięknej i zupełnie nowej Łodzi. Bowiem pan Jaworski od wielu lat wraz z grupą pracujących w Miejskiej Pracowni Urbanistów nakreśla projekty nie tylko budowy nowych osiedli, ale i plany zmian, które dokonane niejako „wewnątrz" generalnie za lat kilkanaście zmienią charakter naszego miasta.

„Łódź — mówi Cyprian Jaworski — powstała z małej osady rękodzielniczej. Najstarszą częścią jest Stare Miasto leżące niegdyś nad rzeką Łódką przy trakcie piotrkowsko-łęczyckim. Wzdłuż tego traktu według planu Rembielińskiego powstała za czasów Królestwa Polskiego osada rękodzielnicza, która w końcu XIX i na początku XX wieku przeradza się w ogromne osiedle fabryczne, które przed rokiem 1939 ma już 670 tysięcy mieszkańców. (Dziś mamy w Łodzi ponad 730 tysięcy mieszkańców). Architekturę Łodzi kształtuje specyfika charakteru, usytuowanie, wreszcie warunki w jakich się rozwija. Do 1935 roku nie istniał w ogóle ogólny plan budowy miasta. Powstało ono w sposób najzupełniej żywiołowy, a skutki tego żywiołowego rozwoju Łodzi niestety dotąd wszyscy odczuwamy".

„Współczesna urbanistyka zakłada taką organizację przestrzenną miasta, która zapewnia maksymalną wygodę mieszkańcom. Zasadą są tu kompleksowe zespoły domów mieszkalnych z odpowiednim wyposażeniem w punkty usługowe, sklepy i urządzenia użyteczności publicznej. Osiedla buduje się dla trzech do sześciu tysięcy mieszkańców. W stosunku proporcjonalnym do liczby ludności planuje się w zasięgu pierwszego dojścia wszystkie te instytucje, które zaspokajają potrzeby codzienne mieszkańców, a więc także i szkołę, żłobek, przedszkole. Osiedla łączą się w zespoły osiedlowe 15—20 tysięcy mieszkańców, te dopiero w dzielnice mające 40—60 tysięcy mieszkańców".

W pracowni urbanistycznej powstają plany rozmieszczenia przestrzennego wszystkich obiektów w mieście. Wraz z grupą architektów pracują tu ekonomiści, geografowie, specjaliści z wielu dziedzin techniki i gospodarki; specjaliści do spraw przemysłu, kolejnictwa, sieci wodnej, kanalizacyjnej, cieplnej itd. Stale współpracuje z pracownią socjolog dr Wacław Piotrowski.

„Plany przestrzenne budowy miasta — mówi inż. Jaworski — są rezultatem pracy specjalistów z wielu dziedzin. Z naszej pracowni wychodzą projekty oznaczające miejsce położenia obiektu, jego wysokość, wielkość, a także miejsca rozmieszczenia zieleni, ulic, miejsca sklepów, restauracji, kin, bibliotek, zakładów pracy itd. Opracowane przez nas po zatwierdzeniu przez odpowiednie instancje plany wędrują do inwestora. Ten od daje je dopiero architektom, którzy oznaczone na planie miasta inwestycje szczegółowo opracowują wykonując plany realizacyjne. „W tej chwili pracujemy nad aktualizacją planu perspektywicznego rozwoju Łodzi do 1980 roku, nad analizą przestrzenną wykonania planu etapowego bieżącej pięciolatki (1961-1965 roku), a także nad nowym etapowym planem urbanistycznym następnej pięciolatki (1966 — 1970).

„Zatwierdzony w roku 1961 plan Łodzi przewiduje stworzenie w kwartale ulic Główna — Żeromskiego — Północna — Targowa z ich odpowiednimi przedłużeniami — city. Będzie to nowoczesne centrum handlowo — usługowe. Komunikacja zostanie zmodernizowana. Sześć biegnących wzdłuż i kilka w poprzek Łodzi bardzo szerokich ulic z dwukierunkowymi jezdniami i wydzielonymi torowiskami tramwajowymi, umożliwi łodzianom szybkie i sprawne poruszanie się w zasięgu całego miasta. Przewiduje się wprowadzenie początkowo, tramwaju cichobieżnego przyśpieszonego, a potem szybkiej kolei miejskiej. W niektórych punktach już te nowoczesne ulice można oglądać. — Aleje Politechniki, Żeromskiego, Wojska Polskiego. Ale to dopiero początek. Ulicę Piotrkowską przeznaczamy dla ruchu ze względu na jej handlowo - usługowy charakter. W odległości 150 metrów, w Alejach Kościuszki skupiać się będzie ruch kołowy. Między Piotrkowską, a Alejami istnieje już kilka przejść (poza oczywiście poprzecznicami — będzie ich oczywiście więcej. Mają one na celu powiązanie ze sobą tych dwóch ulic. Aleje Kościuszki zostaną przedłużone do Placu Reymonta ulicy Czerwonej i dalej przez Wólczańską do Pabianickiej. Trudno wyliczyć tu wszystkie projekty. Nowa Łódź przedstawia się na planach urbanistów imponująco. Następne dwudziestolecie przyniesie zmiany, które nasze miasto przemienią w wielki, nowoczesny ośrodek".

ZE ŚWIATA

Jules Dassin, twórca „Rififi" i „Nigdy w niedzielę" realizuje egzotyczną komedię kryminalną pod prawdziwie egzotycznym tytułem „Topkapi". Znaczną część zdjęć nakręcono w Turcji i Grecji. W rolach głównych występują Melina Mercouri, Maksymilian Schell, Peter Ustinov. Ponadto w „Topkapi" gra sam reżyser tudzież jego potomstwo: Julia, Joe i Rick Dassinowie.

* * *

Życie „gwiazd", wbrew temu co sobie wyobrażają pensjonarki nie jest usłane różami. Konkurencja, walka o sławę i kontrakty, niedyskrecja prasy i fotografów, a wreszcie ciężka i wyczerpująca nerwowo praca — to treść życia gwiazd filmowych. Czasem popełniają samobójstwa, a czasem kurują się przez długie miesiące w klinikach psychiatrycznych. Czasem po prostu załamują się, tak jak wydarzyło się ostatnimi czasy Sophii Loren i Ginie Lollobrigidzie. Sophia zemdlała w trakcie pracy przy filmie „Wczoraj, dziś, jutro". Po powrocie z kliniki mediolańskiej oświadczyła dziennikarzom, że rezygnuje ze swej roli w filmie „Idiotka" wg Acharda. Carlo Ponti jest bardzo zaniepokojony stanem zdrowia i nerwów swej małżonki. Lollobrigida przeszła kryzys nerwowy podczas realizacji filmu „Słomiana kobieta" w reżyserii Basila Deardena. Niektórzy dopatrują się przyczyn załamania Giny w jej osobistych kłopotach. Już od dawna mówi się o możliwości rozejścia się jej z mężem Milko Skopicem.

* * *

Niepokojący, fascynujący, podniecający — takimi epitetami określa prasa francuska nowy film Georges Franju pt. „Judex". Film zadedykowano staremu mistrzowi filmu niemego, autorowi pierwszej wersji „Judexa" — Louis Feuillade. Szlachetny Judex, w masce i ciemnym płaszczu próbuje zaprowadzić sprawiedliwość w świecie zbrodni i przestępstwa; akcja filmu obfituje w mnóstwo nieprawdopodobnych scen i makabrycznych epizodów budzących dreszcz grozy na widowni. Rzecz cała kończy się jednak happy endem ku radości wszystkich widzów. W filmie gra m. in. Theo Sarapo — mąż Edith Piaf.

* * *

Gina Lollobrigida bawiąc na Majorce zwiedziła dom, w którym mieszkali George Sand i Fryderyk Chopin. Gina oświadczyła dziennikarzom, że bardzo ją interesuje postać znakomitej pisarki francuskiej i że pragnęłaby odtworzyć na ekranie tę „prawdziwą" kobietę, płonącą wielkimi namiętnościami. Włoska gwiazda położyła różę na fortepianie Chopina, składając tym gestem hołd naszemu rodakowi.

* * *

W Hollywood mówi się o filmie poświęconym Edith Piaf. Kierownictwo muzyczne obejmie Frank Sinatra. Usłyszymy autentyczne nagrania wielkiej piosenkarki. Nie znaleziono tylko jeszcze aktorki, która by wcieliła się w jej postać.

* * *

W listopadzie amerykański reżyser Richard Brooks rozpocznie w Hongkongu zdjęcia do filmu „Lord Jim" opartego na powieści Conrada. W filmie wystąpią Curd Jurgens, James Mason, Peter O'Toole i Jack Hawkins.

* * *

W sferach filmowych i artystycznych Paryża duże poruszenie wywołała wiadomość o zakończeniu długotrwałego (jak na jej obyczaje) romansu Brigitte Bardot z Sami Frey. B. B. zaczęła się oficjalnie pokazywać z Bobem Laguri — młodym i ekscentrycznym milionerem. Prasa francuska uważa, że dzięki temu łaskawemu zrządzeniu niebios, Sami będzie mógł kontynuować swoją karierę aktorską, którą lekkomyślnie zarzucił. (M. K.)

ALEKSANDER NIEŚMIĄŁEK

ECHO WIELKIEGO DZIEŁA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

„Każdy twórca znajduje przyjemność w powtarzaniu samego siebie, w powracaniu do opracowanych już raz tematów i snucia na ich kanwie coraz to nowych wariacji" — są to słowa Jean Renoira, twórcy „Towarzyszy broni" — filmu z roku 1937, który wznowiony kilka lat temu uzyskał wielką popularność we Francji jak również u nas. Wymienione dzieło Jean Renoira tak jak „Marsylianka" i „Suka" weszło już dawno do historii filmu. Renoir w roku ubiegłym odważył się powrócić raz jeszcze do tematu, który wydawałoby się uzyskał ostateczną, niepowtarzalną wersję filmową i formę, stał się znany i popularny.

Twórca „KAPRALA W MATNI" dokonał czegoś w rodzaju adaptacji własnego dzieła dla potrzeb widza współczesnego, któremu historycznie bliższa jest minionа wojna, niż I wojna światowa — tło akcji niezapomnianych „Towarzyszy broni". Renoir opierając się dość wiernie na schemacie fabularnym „Towarzyszy broni" przeniósł akcję w czasy II wojny. W przeciwieństwie do tamtego filmu, gdzie na pierwszym planie widoczne były różnice klasowe dzielące bohaterów, bardziej istotne niż narodowościowe, „Kapral w matni" już tych różnic właściwie nie uwzględnia i jest przede wszystkim opowieścią filmową o solidarności, która łączy ludzi w obliczu niebezpieczeństwa. Pod tym względem znajdujemy sporo podobieństw „Kaprala" do przedwojennych „Zbiegów" Jean Paul Le Chanois, gdzie przede wszystkim ponad różnice charakterów, temperamentów, a nawet światopoglądów triumfowała humanistyczna postawa wielkiej solidarności. W nowym filmie Jean Renoira nie odgrywają zasadniczej roli szczegóły rodowe bohaterów. Wątkiem zasadniczym jest los człowieka ukazany na tle wydarzeń ostatniej wojny, jakże odmiennej w wyniesionych doświadczeniach niż I wojna światowa. Ta filmowa farsa na pozór pełna dowcipu i humoru, jest także dziełem głębokim i szerszym utworem o ogromnej treści humanistycznej. Wśród powojennych filmów Renoira „Kapral w matni" jest dziełem, obok „Złotej karocy", najbardziej udanym od strony formy. Po niższego lotu „French cancanie" i „Śniadaniu na trawie". Jean Renoir stworzył dzieło pełne humoru, dowcipu, co równie wzruszające i dramatyczne. Tym bardziej odnotować należy sukces „Kaprala w matni", filmu prawie że bezbłędnego pod względem dramatycznym i warsztatowym.

Renoir sięgnął po młode pokolenie aktorskie; po gwiazdorów „nowej fali" francuskiej — Jean Pierre Cassela (znanego u nas z kapitalnych komedii de Brooka „Igraszki miłosne", „Dowcipniś") i Claude Brasseura (syna znakomitego Pierre Brasseura), po świetnego, młodego komika Mario Dawida. W epizodycznej roli niemieckiej dziewczyny wystąpiła urocza, młoda zachodnioniemiecka aktorka Canny Froboess. Ze starszych aktorów oglądamy znanego w Polsce zachodnioniemieckiego aktora Otto Edwarda Hasse. Warto wspomnieć także o znakomitym opracowaniu muzycznym Josepha Kosmy, jednego z czołowych francuskich kompozytorów filmowych, autora muzyki do filmów Renoira, Cayatte'a i Bunuela. Bez przesady można więc polecić film Renoira jako jeden z ciekawszych filmów zagranicznych listopadowego repertuaru filmowego.

Włoska aktorka Claudia Cardinale i John Wayne — bohater westernów amerykańskich, które oglądaliśmy na naszych ekranach.

Ars poetica w telewizji

Gdzieś w samym środku mickiewiczowskiej strofy, wygłaszanej przez I. Gogolewskiego, rozległo się nagle a zaskakujące bębnienie: niby to galop konia, niby to bicie serca. Pomyślałem sobie, że to może efekt dźwiękowy. Co najmniej dziwaczny, ryzykowny, ale w programie telewizyjnym wszystko się przecież może zdarzyć. Jednak to nie był efekt, tylko usterka dźwiękowa, za którą telewidzów oczywiście najserdeczniej przeproszono.

Jakość techniczna niektórych programów telewizyjnych jest po prostu zastraszająca. Tu rozbrzmiewa dramatyczne słowo, a tu — jakby gdzieś z trzeciego wymiaru — słychać czyjeś nazbyt głośne kroki, jakieś trzaski. Albo też zawala się dekoracja, albo ktoś z tyłu coś za głośno powie, albo kamera za wcześnie zdejmuje aktora, albo przerywa się z powodu usterek technicznych w ogóle spektakl, i telewidz gryzie palce — ze złości — i czeka, aż usterka zostanie naprawiona.

Taka dłuższa usterka techniczna, w sposób gwałtowny przerywająca program spotkała nas w poniedziałek (18. XI.) podczas spektaklu „Ballady ciesielskiej" Stanisława Grochowiaka. Mniej drastyczne usterki zdarzają się w telewizji na porządku dziennym, i właściwie, mimo przeproszeń, telewidz ma święte prawo, aby się na telewizję śmiertelnie obrazić, tylko — co mu z tego obrażania przyjdzie? Nie poprawi nim przecież technicznej jakości programów telewizyjnych.

Koniec narzekań, to była tylko mała dygresja na marginesie tematu, jaki dziś obrałem za przewodnią „ideę" swego felietonu. Ot, siedzę, i dumam, i przypominam piękny, wzruszający program, na który złożyły się wiersze Tadeusza Kubiaka w recytacji Ignacego Gogolewskiego, przy równie pięknym i wzruszającym podkładzie muzycznym i świetnej scenografii, utrzymanej w kubiakowskiej konwencji (jeżeli tak można określić): trochę abstrakcyjnej, lecz więcej lirycznej i prostej. Już wtedy zastanawiałem się nad tym, jak wielka jest szansa poezji — szansa na popularność, na uznanie — dzięki pokazywaniu jej w telewizji.

Poezja w telewizji bowiem jest nie tylko mówiona, jest „pokazywana". Praca kamer, ich ekspresyjne zbliżenia, pozwalające śledzić jakby face to face grę twarzy aktora, i znajdować w niej odbicie własnych przeżyć, własnych wzruszeń, — musi — nawet najbardziej racjonalnie zimnego telewidza — przekonać o wielkości, o niepospolitej sile, zawartej w słowie poetyckim. Ars poetica, ta królowa sztuk, nabiera w telewizji szczególnego blasku, jaśnieje w pełnej okazałości, a połączenie współczesnej formy, jej mariaż z klasyczną strofą, romantycznym rymem mickiewiczowskim, przynosi niespodziewane wprost efekty — na korzyść i współczesności i na korzyść poezji.

Trzeba przyznać telewizji, że w zakresie popularyzacji poezji, tego najtrudniejszego z gatunków literackich, uczyniła bardzo wiele. „Estrada Poetycka", która prezentuje nam co pewien czas znanych poetów, bądź współczesnych jak Kubiak, bądź klasycznych jak Mickiewicz, ma na swoim koncie sporo pod każdym względem wartościowych programów. Niezwykle starannie reżyseruje swoje programy w „Estradzie Poetyckiej" znakomity Andrzej Łapicki. Ale zresztą prawie wszystkie pozycje „Estrady" są dobrze opracowane pamięciowo przez aktorów, mają świetnych interpretatorów, sugestywną oprawę muzyczną i plastyczną. Taki jeden program poetycki w telewizji może uczynić więcej dla poezji niż systematyczne wbijanie w głowy uczniów mickiewiczowskiej „Młodości, ty nad poziomy ulatuj". Również i Teatr Telewizji czasem pokusi się o przedstawienie nam jakiegoś wycinka z twórczości znakomitych poetów. Oglądaliśmy „Kordiana" Słowackiego, a ten spektakl pozwolił przekonać tych (na szczęście, nie wszyscy tak sądzą), że Słowacki nie należy do zmurszałych klasyków, których nie warto ruszać, bo proch starzyzny się posypie. Podobnie było z „Weselem" Wyspiańskiego. Ale to wszystko jeszcze jakby za mało. Wydaje mi się, że w twórczości poetyckiej naszych własnych — i obcych — poetów tkwią nie wyzyskane do końca przez telewizję możliwości, które pozwoliłyby wielomilionowej widowni telewizyjnej, tak bardzo zróżnicowanej pod względem wieku, wykształcenia i zainteresowań, przeżywać jednakowe, lub w każdym razie mocno zbliżone — odczucia, wzruszenia; jak również, że tkwią możliwości udostępnienia tej wielomilionowej widowni znakomitych dzieł literackich, których wartość artystyczna nie może już podlegać najmniejszym wątpliwościom.

Widzieliśmy niedawno poetyckie — chociaż nie dosłownie — „Listy Heloizy", w doskonałej interpretacji Zofii Kucówny, oglądaliśmy też — bardziej poetycką niż sceniczną — „Balladę ciesielską" Stanisława Grochowiaka, naszego współczesnego poety, w ostatnią niedzielę obejrzeliśmy mickiewiczowskie liryki; można tu dużo podawać tytułów. Ale, jak już powiedziałem, sztuka poetycka, jej rozumienie, jej odbiór wymaga często nie lada kultury i obcowania z przedmiotem. Tymczasem panuje dzisiaj raczej niechęć do tego literackiego gatunku; cóż, młodzież czasem się wstydzi wzruszeń, a jeszcze bardziej posądzenia o sentymentalizm, romantycy nie w modzie, Byron nudzi, „Cierpienia młodego Wertera" Goethego budzą śmiech — tak skarżą się poloniści; a równocześnie wśród wielu osób zakorzeniona jest głęboko niechęć do poezji współczesnej, albo — jak ją niekiedy pogardliwie, w znaczeniu perojatywnym, się określa „nowoczesnej". Ta niechęć najczęściej wypływa z niezrozumienia współczesnej poezji. A więc zmierzam tu do tego, że telewizja mogłaby — chociaż bardzo ładnie i konsekwentnie to już robi poprzez poetyckie programy — tę niechęć — i jednych i drugich — w dużej mierze rozładować. Istnieją w telewizji takie cykle: „Jak patrzeć na dzieło sztuki", „Jak patrzeć na film", i wiele innych, o analogicznej funkcji — popularyzowania wiedzy o sztuce, o przedmiocie sztuki — czy więc nie warto byłoby pokusić się o podobną popularyzację poezji?

Podaję projekt, gra jest chyba warta świeczki. Niejednej świeczki.

KOWALSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

BEŁCHATÓW NA NOWO ODCZYTANY

storia świętej wojny między tymi miejscowościami sięga XVIII wieku, a pierwsze zwycięstwo było osobistym sukcesem pana na Bełchatowie, Kaczkowskiego herbu Kaczka. Upijał on chłopów jadących na jarmarki do Grocholic i podstępem kierował ich do Bełchatowa. Sława bełchatowskich jarmarków utrzymywała się potem przez długie lata.

W ubiegłym roku po osiągnięciu docelowej produkcji „bawełnianki" miasto Bełchatów liczyło 7 tysięcy mieszkańców. Posiadało Liceum, księgarnię, pocztę, aptekę, cztery kioski „Ruchu", łaźnię miejską, 5 taksówek oraz kino mieszczące się w dawnej remizie strażackiej odbudowanej społecznym sumptem...

Apetyt jednak rośnie w miarę jedzenia, to, co w latach pięćdziesiątych było szczytem marzeń — w dziesięć lat potem stało się sprawą powszednią i nie budzącą zdumienia. Ba, okazało się, że „bawełnianka" to za mało. Nadała jakąś rangę samemu miastu, ale nie wystarczy aby do tegoż poziomu podnieść cały powiat.

Ziemia wokół Bełchatowa jest uboga, gospodarstwa małe, przemysłu terenowego brak, a tu w każdym obejściu dorastający synowie i córki. W ubiegłym roku, w powiecie zarejestrowano około 700 ludzi w wieku od 16 do 25 lat, którzy mówiąc popularnie „zbijali bąki". Miasto nie mogło im zapewnić ani miejsca w szkołach, ani pracy. W tej sytuacji energia i sprawność organizacyjna, którą utworzenie powiatu i budowa zakładów wywołały u władz powiatowych — przycichała. Po okresie działania i zmian na lepsze, nastąpiła cisza. Tylko do balkonowych rozważań doszło trochę tematów o sprawach fabryki. Czwartkowe brydże odbywały się w kilku domach jednocześnie — jako że miastu przybyło paru lekarzy i inżynierów. Niedzielni spacerowicze podzielili swe sympatie między „Jubileuszową" a kościół.

Można rzec — że w trochę innych wymiarach, ale wszystko wróciło do normy. Wtórny zastój.

Kiedy więc na polach wokół Bełchatowa pojawili się pierwsi geolodzy przyjmowano ich nader niechętnie. Ładne dziewczyny w modnych swetrach i wyrośnięci młodzi mężczyźni w dżinsach budzili zawiść „tubylczych" rówieśników.

— Im to dobrze, pogrzebią trochę w ziemi a na niedzielę wracają do domów — do Wrocławia, Krakowa, czy zgoła do stolicy. Że pracują na deszczu i chłodzie? Często po łokcie utytłani w błocie? — A niech tam...

To nie cel poszukiwań (złota tu nie znajdą, jedynie piasek), a obcy ludzie budzili pewną niechętną ciekawość, a i to do czasu. Nikt tu nie liczył na ową spodziewaną naftę. I wtedy stało się — jak grom z jasnego nieba na miasteczko spadła wiadomość o węglu.

— Ludzie! Mieszkacie na takich pokładach, jakich dotąd nie odkryto w Europie. Nie macie pojęcia co to za bogactwo. Wszystko, co znajduje się na tej ziemi, nie jest warte ani jednej dziesiątej tych pokładów...

— Co? Co? Jak? Gdzie? Co teraz będzie?

Na balkonach zaszumiało. Pusta zwykle salka ZMS zaroiła się od niespodziewanych „sympatyków". — Mówcie co wiecie, bo wam chyba już powiedziano, a my ciemna masa...

Pierwsze konkretne wieści oszołomiły bełchatowian. Na ich (głównie) terenach odkryto złoże węgla brunatnego rozciągające się na tysiącach hektarów. Kombinat górniczo-energetyczny jaki w oparciu o te złoża opłaca się wybudować trzykrotnie przekroczy wielkość „Turoszowa". Zatrudnionych zostanie wiele tysięcy osób, wybuduje się dla nich tysiące izb mieszkalnych. Powstaną nowe osiedla, kina, kawiarnie, sklepy... Dla biednego, zapomnianego powiatu życie zacznie się od nowa.

„Bawełnianka"? — betka! Upojeni nowymi perspektywami pogrążyli dawny powód dumy.

Półtora roku dzieli nas od momentu ogłoszenia wyników geologicznych poszukiwań. Przez ten czas w trzech ośrodkach projektowych: polskim, niemieckim i czeskim opracowuje się plany budowy przyszłego Kombinatu. Sprawa to niebagatelna — chodzi o jedną z największych inwestycji w kraju — o miliardy złotych.

Przez ten czas w Bełchatowie — okres powtórnej stagnacji skończył się, tym razem chyba bezpowrotnie... Zanim jednak rozpocznie się budowa Kombinatu upłynie jeszcze sporo czasu. Czas czekania (trwający już drugi rok) stał się jakby wyższą szkołą charakterów, której lekcje stwarza codzienność. Bo nie ma dnia, żeby w Bełchatowie nie mówiono o sprawach przyszłości, nie kończy się zresztą na mówieniu. Trwają przygotowania miasta na przyjęcie budowniczych. Nie wszyscy jednak biorą w nich udział... „Węgiel" bowiem skłócił miasto. Bełchatowianie podzielili się na kilka grup wyznających różne poglądy w tej ważkiej sprawie. Możemy tam więc znaleźć i „realistycznych entuzjastów", i „bezzdaniowców" i „nie zawsze biernych filozofów".

Pierwszych jest jeszcze niewielu, ale grupa ta wciąż się powiększa. Do niej należą, co z przyjemnością można odnotować, powiatowe władze, to one z miejsca ustaliły, że w nowych warunkach miastu trzeba będzie wielu inwestycji, przecież teraz nawet o chleb powszedni w Bełchatowie trudno. A więc należy z powiatowych funduszy wysupłać co nieco na budowę piekarni, restauracji, rzeźni.

Ubogie rolnictwo powiatu należy przestawić na produkcję owocowo-warzywną. Kierownik Powiatowego Wydziału Rolnictwa inż. Kacprzak — jeden z pierwszych ludzi z wyższym wykształceniem, którzy przyjechali do miasta po utworzeniu w nim siedziby powiatu — opracowuje plan tej niełatwej batalii.

Ojciec miasta wreszcie, p. Wieczorkiewicz, który o przyszłości swego grodu dowiedział się akurat w dziesiątą rocznicę piastowania tej godności, rozmyśla nad zmianą wyglądu szarych ulic Bełchatowa. (I rzeczywiście po założeniu zieleńców wyglądają one znacznie milej).

„Realistyczni entuzjaści" mają w swych szeregach także członków KP Partii (nie, wcale nie z urzędu), i spory odłam młodych i dorosłych, którzy wyznają hasło: „Czas czekania poświęcamy nauce". Młodzież z tej grupy przebywa teraz w Turoszowie, a nawet w NRD na specjalnych kursach technicznych, albo uczy się na I roku Zasadniczej Szkoły Budowlanej, którą z niemałym trudem, ale jednak udało się w tym roku otworzyć w Bełchatowie. Dorośli natomiast — często dziś jeszcze rolnicy, którzy odstąpią swoją ziemię kopalni, w innych wypadkach mieszkańcy różnych miast Polski — już zgłaszają swój akces do pracy w Kombinacie. Szperają, pytają, jakich fachowców trzeba będzie najwięcej — uczą się.

— Czego po Kombinacie spodziewają się „realnie myślący entuzjaści"?

Przede wszystkim pracy (niekoniecznie dla siebie) ciężkiej i mozolnej, chociaż dobrze płatnej i zapewniającej dobre warunki życia w nowych domach, które

wybudowane zostaną wraz z powstaniem kopalni.

Ta grupa nie jest w mieście najliczniejsza — „bezzdaniowcy" biją ją na głowę. Są to ci, którzy ograniczają się do czekania i tylko czekania. (Jeszcze nie zrozumieli, że w naszych czasach Godotowi trzeba wyjść naprzeciw). Do nich należy wielu gospodarzy wiejskich, których grunty leżą na złożach węgla. Tacy rozumują na przykład tak: za pięć lat (jak mówili na zebraniu) nasza wioska będzie wykupiona przez kopalnię — to po co ja będę rozwijał hodowlę, kupował nawozy i remontował stodołę? — Poczekam, a może się co stanie?... Stanie się jedynie to, że przez najbliższych pięć lat gospodarstwo będzie przynosiło mniejsze zyski, w chwili wykupywania ziemi i zabudowań zostaną one oszacowane niżej niż wtedy, gdyby gospodarz do końca dbał o nie jak należy. Szkoda, że do grona oczekujących należy i młodzież. — Kombinat? Bo ja wiem? Poczekam... Akurat za dwa lata będę pełnoletni to i pracę mi dadzą. A tymczasem jeszcze pobujam po... np. Grocholicach. Ale jaką pracę taki złoty młodzian dostanie, tym się nie martwi. Pożyje, zobaczy — teraz się nie wypowiada.

„Bezzdaniowcy" — łatwo ulegają wszelkim panikarskim pogłoskom głoszonym przez ich ideowych kolegów z grupy „nie zawsze biernych filozofów". To bardziej złożona grupa. Między innymi dzieli się na takich co to siedząc w kręgu ożywionych dyskutantów po godzinie marszczenia brwi i wygniatania ręką podbródka czynią uwagę w rodzaju: „phi! wszystko w rękach losu. Ale, ale — dodają z niemałym ożywieniem — podobno miasto też będzie zburzone, a wszystkich przesiedli się do baraków...".

Nie trzeba chyba rozpisywać się o beznadziejności takiej postawy, wszelako trudno byłoby osądzić czy jest ona lepszą czy gorszą od tej, którą reprezentuje inny odłam „filozofów" (nie zawsze, i nie tylko filozofów) — „utajeni kombinatorzy".

Ich czołowymi przedstawicielami są ci, co dowiedziawszy się, że do miasta przyjedzie sporo przybyszów, którzy będą potrzebowali mieszkań — przygotowują sublokatorskie pokoiki po 750 zł miesięcznie (Nazywa się to „zasadą hotelową", 25 zł doba. Do nich należy też przekupka na rynku, która na widok obcego klienta podwaja cenę grzybków... utarło się bowiem, że „górnicy" mogą płacić.

Utajeni kombinatorzy — jeśli są gospodarzami wiejskimi, których grunty leżą na złożach węgla pytają chytrze — czy i za węgiel co się w ich ziemi znajduje też dostaną zapłatę? A niech spróbują sami zdjąć wielometrową warstwę nadkładu i wydobyć ten węgiel...

Tacy są „kombinatorzy" — niby tylko filozofują, ale w tajemnicy, po cichu, jeno patrzą jak to lub owo wykorzystać.

No tak... „węgiel" skłócił miasto... Nawet dzieci mają w wiadomej sprawie odrębne zdanie. Odkąd pół roku temu w czasie wizji złóż węglowych po raz pierwszy zobaczyły nad Bełchatowem helikopter (a lekcje wtedy przerwano — takie wydarzenie!) chodzą im po główkach wspaniałe wizje przyszłości.

„Dzięki Kombinatowi będziemy mieli w Bełchatowie lotnisko z odrzutowcami, powstaną tutaj drapacze chmur, a każdy grzeczny chłopczyk będzie miał auto — „mikrusa".

Czy te marzenia się spełnią? Przyszłość pokaże. Przyszłość Kombinatu „Bełchatów" spoczywa jednak w rękach (przeważnie) starszych panów z literkami „mgr", „inż." lub „dr" przed nazwiskiem — a ci ręczą, że dzięki Kombinatowi Bełchatów będzie dużym, nowoczesnym ośrodkiem, w którym każdy znajdzie możliwość pracy i godziwych warunków życia. O nudzie i stagnacji nie będzie tam mowy.

— A balkony uważane będą wyłącznie za akcent architektoniczny miasta.

GRAŻYNA BODZIOCH

CO w terenie?

W ostatnich dniach listopada odbywało się w Rogowie k. Brzezin czterodniowe seminarium pracowników kultury naszego województwa. Uczestnicy (kierownicy wydziałów kultury terenowych rad narodowych, kierownicy domów kultury i poradni instrukcyjno-metodycznych) zapoznawali się m. in. z najnowszymi kierunkami w kinematografii, dyskutowali o aktualnej sytuacji amatorskiego ruchu artystycznego, a także wzięli udział w spotkaniu z J. Steinbeckiem. Poza tym omawiano szereg zagadnień związanych z codzienną pracą działacza kultury, dzielono się doświadczeniami, nawiązano nowe kontakty. Było to więc seminarium, ze wszech miar pożyteczne i potrzebne, wynikające z konkretnej realizacji hasła: „powiat — samodzielnym gospodarzem swojego terenu". A wiemy przecież, że „gospodarowanie kulturą", zwłaszcza na terenie tzw. Polski powiatowej — jest rzeczą wymagającą głębokich przemyśleń...

⊙

Co rok, od ośmiu już lat, Wojewódzki Związek Spółdzielni Pracy w Łodzi organizuje przeglądy swoich zespołów artystycznych. „Udział w przeglądzie — mówi regulamin tej imprezy — biorą wszystkie zespoły artystyczne objęte patronatem WZSP, bez względu na stopień przygotowania". Organizatorzy starają się bowiem uniknąć niezdrowej atmosfery konkurowania zespołów, ale pragną dokonać rzeczowej oceny i analizy dorobku spółdzielczego ruchu amatorskiego. Dla słabszych zespołów będzie to i tak okazją do pożytecznych konfrontacji. Obiema rękami podpisujemy się pod tym pomysłem WZSP!

W tegorocznym, VIII Przeglądzie, który odbędzie się 7 i 8 grudnia w Wieluniu weźmie udział 28 zespołów różnego typu.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

SONETY WILLIAMA SHAKESPEARE'A

13

O gdybyś przetrwał, gdybyś mógł pozostać
Sobą! Lecz sobą będziesz tu nie dłużej
Niż być ci wolno, przeto słodką postać
Temu czas oddać, kto cię tu powtórzy.
Piękno nie twoje było. Użyczone,
Niech końca nie ma i niech znów się dzieli,
Byś znów był sobą, gdy co tobą skona
I słodkie dzieło w słodką formę wcieli.
Tak piękny dom czy w gruzy się obróci,
Czy w blasku będzie stać przez pokolenia,
Choć zima wiatry przeciw niemu rzuci
I ściany zmrozi wieczne Śmierci tchnienie?

Dom kto opuści? Chyba kto rozrzutny.
Niech syn cię wezwie, nim Śmierć wszystko utnie.

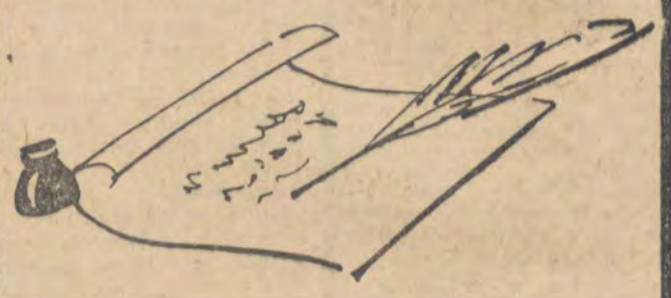

101

Przecz się ociągasz, Muzo ma, leniwie,
I prawdą gardzisz, gdy się z pięknem godzi?
Piękno i prawdę miłość moja żywi,
Ciebie żywiąca: czy chcesz w blasku chodzić?
Odpowiedz, Muzo. Wiem, żeś odrzec skora:
Prawda jest naga, gdy jest oczywista,
Piękno jest sobą, na cóż mu kolory,
A to co piękne, piękne kiedy czyste.
Choć chłopcu memu na nic chwała płona,
Ty nie milcz, Muzo. Bo to możesz sprawić,
By niźli trunia dłużej żył złocona,
By wszystkie czasy mogły chłopca sławić.

Czyń przeto, Muzo, nie bądź mi płochliwa.
Niech zawżdy będzie tym, kim z nami bywa.

146

Która się w centrum grzesznej ziemi palisz
Ma biedna duszo, ciemnym Siłom dana,
Przecz łakniesz w sobie, przecz się w sobie żalisz,
Rozrzutnie zdobiąc swe zewnętrzne ściany?
Przecz czynsz wysoki, gdyś tu tylko gościem,
Płacisz? Czy nie wiesz, że gość krótko bawi?
Robak po tobie odziedziczy kości
I strawi zbytek. Lecz czy ciebie strawi?
Czego się zbedziesz, tym się i wzbogacisz,
Żal twoim skarbem, gdy się żalisz w sobie,
Co boskie zyskasz, gdy co ziemskie stracisz.
Sobą się żywiąc, nie tym, co cię zdobi.

Tobą Śmierć żywie, w tobie pogrzebiona.
Nią się pożywisz i Śmierć wreszcie skona.

Meczet w Mostarze.

MORZE ze słońcem w HERBIE

Dokończenie ze strony 1

obracać autokar niemal o 180°, aby jechać dalej. W wypadku, gdy z drugiej strony nadjeżdżało auto, obydwaj kierowcy musieli dokonywać wyjątkowych czynów zręczności szoferskiej, aby się wyminąć. Kierowcy jugosłowiańscy wykazywali przy tym dużo grzeczności i uprzejmości w stosunku do kolegi z Polski. O krok od wąskiej drogi po obu stronach strome skały. Aż strach pomyśleć, co by się stało gdy by... Ciekawe jednak, że na tej trudnej, pełnej ostrych serpentyn trasie, która pozwala niemal z lotu ptaka obserwować cudowny krajobraz górski, urozmaicony jeziorami i zatokami, nie notuje się wcale katastrof autokarowych. Okazuje się, że nawet najniebezpieczniejsza trasa nie przedstawia groźby dla zdrowia ludzkiego, jeśli za kierownicą siedzi skupiony człowiek i naturalnie dobry kierowca.

Dubrownik — perła Adriatyku wita w połowie września niemalże lipcowym upałem. Nic tu o tej porze nie wskazuje na koniec sezonu letniego. Pełno turystów z wszystkich stron świata. Na deptaku różnojęzyczny gwar opalonych na brąz urlopowiczów. Jadrian czyli po naszemu Adriatyk błyszczy dziesiątkami odcieni błękitu, na który patrzymy z niedowierzaniem. Jest stanowczo zbyt pocztówkowy. Miejscowe gołębie przypominają nasze na Starym Mieście. Dubrownik ze swymi pomnikami, bujną, podzwrotnikową roślinnością i charakterystyczną panoramą zabytkowego, średniowiecznego grodu nad stromymi skałami ma mnóstwo swoistego czaru. Charakterystyczne, że nie znajdziesz tu ani jednego meczetu. Dubrownik chlubi się tym, że oparł się dzielnie Turkom i islamowi. Ze starej przystani z Dubrownika odpływają statki do wyspy kwiatów Lokrum. Niestety, nie było okazji wziąć udziału w takiej podróży. Nasza wycieczka bawiła w Dubrowniku zaledwie parę godzin.

Dłuższy, bo 4-dniowy odpoczynek czekał nas w Herceg Novi. Zakwaterowano nas w ośrodku „Topla" (Słoneczna) oddanym do użytku w tym roku. Jest to miasteczko wczasowe, składające się z kilkudziesięciu domków murowanych, każdy posiadający 8 pokoi (4 na parterze i 4 na piętrze ze wszystkimi wygodami). Ośrodek ma pawilon gastronomiczny i część administracyjną. Widok z okien domków rozpościera się na uroczą zatokę i wybetonowaną plażę z natryskami. Można było z powodzeniem przebrać się w pokoju i w opaleczu, względnie lekkim wdzianku przespacerować się na plażę. We wrześniu przebywa tu jeszcze sporo urlopowiczów z różnych stron Jugosławii oraz z zagranicy, zwłaszcza z NRF.

Ulubieńcem wszystkich był mały, 4-letni chłopczyk opalony na czekoladkę. Jego mama o migdałowych oczach i czarnych jak heban włosach uczyła chłopca pływać. Z rozmowy z sympatyczną jak się okazało, mieszkanką Macedonii, dowiedzieliśmy się, że pochodzi ze Skopje. Cudem uniknęła ona i jej mały synek śmierci pod gruzami zniszczonego niedawno miasta. Gdy dowiedziała się, że jesteśmy z Polski mówiła z wdzięcznością o pomocy, z którą nasz kraj pośpieszył jej miastu. My mówiliśmy jej o mieszkańcach Łodzi — którzy wstrząśnięci tragedią Skopie w dalszym ciągu zbierają fundusze na odbudowę stolicy Macedonii.

Herceg Novi

Stosunek wczasowiczów jugosłowiańskich do naszej grupy był niezwykle serdeczny. Na plaży pożyczali nam materace, zapraszali na łódki, kajaki i żaglówki, częstowali lodami. Obok naszej grupy było w Herceg Novi więcej polskich turystów. Wśród nich łatwo było rozpoznać aktora Bogumiła Kobielę i Janusza Minkiewicza.

Jeden dzień pobytu w Herceg Novi poświęciliśmy na objazd nadmorskich miejscowości. Niemalże w każdej spotykaliśmy turystów z Polski. W Budwie natknęliśmy się na łodzian, którzy zażywali słońca na uroczej plaży. Przylecieliśmy z „Gromadą" samolotem do Titogradu, a stamtąd wprost nad Adriatyk na 10-dniowy wypoczynek. Byli z tego wypoczynku bardzo zadowoleni. Ciepłe, słone kąpiele, upalna pogoda, urok plaży, gdzie obok morza wznoszą się wysokie góry oczarował wszystkich. W ich grupie, jak się dowiedzieliśmy, był również poseł Ajnenkiel.

Po kilku dniach trzeba było niestety opuścić gościnne Herceg Novi, aby po 300-kilometrowej podróży dotrzeć do Sarajewa stolicy Bośni i Hercegowiny. Na 100 km od Sarajewa nasz autokar złapał gumę. Kierownik wycieczki zadecydował, że udajemy się autostopem do hotelu, gdzie mieliśmy zarezerwowane noclegi. Ani jeden zatrzymany wóz, jeśli tylko miał miejsce, nie odmówił nam swojej pomocy. Kilka osób zabrały trzy auta, którymi wracała do swego rodzinnego miasta rodzina Mustafy Karamehmedowicza. Chociaż do Sarajewa dojechaliśmy około północy, mili gospodarze nie omieszkali w błyskawicznym tempie pokazać nam swego grodu, a przy najmniej najważniejszych obiektów. Po krótkiej nocy spędzonej w gościnnym, choć nie najbardziej luksusowym hotelu Beograd, zwiedzaliśmy miasto w dzień. W dzielnicy rzemieślniczej można było zaopatrzyć się w pamiątki — artystyczne przedmioty ręcznej roboty ze srebra lub wyroby skórzane. Sarajewo — miasto 100 meczetów ma jeszcze tę osobliwość, że Turków można zobaczyć tu w czerwonych fezach importowanych z „Czechosłowacji".

Ostatnim etapem naszej blisko 2-tygodniowej podróży po jugosłowiańskiej ziemi był Belgrad. Belgrad — stolica Jugosławii jest pięknym, niemal zupełnie nowoczesnym półmilionowym miastem. Przybyszom prezentuje dobrą, lekką architekturę i życiowe rozwiązanie urbanistyczne. Przy każdym niemal lokalu gastronomicznym, kolorowe stoliki i parasole. Odnosi się wrażenie, że wszystkie lokale przeniosły się na świeże powietrze. Specjalnością tych lokali jest wino z lodu, herbata lub kawa i nieobowiązkowa konsumpcja. Komu się spieszy, może lody lub krem kupić z automatu ulicznego.

Wieczorem Belgrad jest oświetlony kolorowymi neonami. Ogromne domy towarowe prezentują mnóstwo artykułów przemysłowych m. in. ładną konfekcję tekstylną i skórzaną. W komisach dużo włoskich „ciuchów" i nasze „Kolibry". W sklepach żywnościowych typu „Delikatesy" pełno jugosłowiańskich trunków win, koniaków, winiaków, śliwowicy i rumu. W działach owocowych nas Polaków nie tyle interesują winogrona czy brzoskwinie, ile świeże figi. Te soczyste, słodkie i miękkie kulki, z których trzeba przed jedzeniem ściągnąć zieloną skórkę, przypominają w smaku nieco nasze gruszki — ulęgałki. To co nas Polaków szokuje w jugosłowiańskim handlu, to rozmaite ceny za identyczne towary. Różnice są nieraz znaczne.

Białe miasto ma wiele zieleni. Największy park w którym znajduje się twierdza Kalemegdan, ciągnie się na przestrzeni 30 ha wzgórz położonych przy ujściu Sawy do Dunaju. Tutaj w widłach obydwu rzek w przyszłości ma powstać wielki ośrodek wypoczynkowy dla mieszkańców stolicy Jugosławii. Belgrad posiada jeszcze jedną ciekawostkę. Jest to „park miłości" z wygodnymi ławeczkami zupełnie bez oświetlenia. Pełno tu wieczorem zakochanych par i nie ma wcale chuliganów.

2.000 km, które nasza wycieczka zorganizowana przez Łódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki przebyła przez jugosłowiańskie ziemie, utwierdziła nas w przekonaniu, że jest to kraj niezwykle atrakcyjny dla nas szczególnie właśnie w miesiącach wrześniu i październiku kiedy Adriatyk jest cieplejszy od sierpniowego Bałtyku a południowych owoców pełno. Nic dziwnego, że Polska zajmuje pierwsze miejsce wśród krajów socjalistycznych pod względem ilości turystów odwiedzających Jugosławię. W ubiegłym roku było tu ich 22.000 w tym na pewno sporo łodzian. Ważne jest i to, że w Jugosławii Polacy czują się jak wśród swoich, spotykając się na każdym kroku z życzliwością i sympatią. Od naszych jugosłowiańskich przyjaciół (choć na pewno brak nam podobnych atrakcji klimatycznych i krajobrazowych), możemy wiele nauczyć się, jak organizować turystykę, a zwłaszcza właściwie ją reklamować. Tej nauki bardzo nam potrzeba.

Małgorzata Czajkowska

Foto: Krystyna Nowak

W dwudziestą rocznicę

Jugosłowiańska sztuka plastyczna w walkach wyzwoleńczych

Oton Postružnik — Naprzód koledzy.

W nocy z 29 na 30 listopada 1943 roku w małej wsi bośniackiej Jajce zebrał się potajemny parlament jugosłowiański, który chyba można by porównać tylko z zakonspirowanym zgromadzeniem naszej Krajowej Rady Narodowej w Warszawie za czasów okupacji hitlerowskiej. W budynku w Jajce okna były, naturalnie, zaciemnione, gdyż hitlerowcy urządzali częste naloty na tę miejscowość nad brzegami Plivy, a w ławach z sosnowego drzewa zasiadali profesorowie obok prostych kombatantów, starzy politycy obok chłopów w kolorowych chustach ściskających włosy, licealiści obok artystów. Ludzie ci z całej Jugosławii przedarli się przez placówki i posterunki nieprzyjacielskie tak zręcznie, że uniknęli konieczności otwierania ognia z broni palnej dla utorowania sobie drogi. Bośniacka Jajka była jednocześnie siedzibą sztabu Narodowej Armii Wyzwoleńczej, której operacjami kierował Broz-Tito, obecny prezydent Jugosławii. Na tym pamiętnym zgromadzeniu w listopadzie 1943 roku zostały położone podwaliny nowej demokratycznej Jugosławii Federacyjnej. Tam również artysta-rzeźbiarz Antun Augustinčić i artysta-malarz Kun zaprojektowali emblemat, godło państwowe nowej Jugosławii. Obaj wymienieni artyści należą do czołówki plastyków jugosłowiańskich. Augustinčić zdobył sobie światowy rozgłos między innymi rzeźbą, która wznosi się przed pałacem Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Obaj, Kun i Augustinčić brali udział w wojnie partyzanckiej o wyzwolenie narodowe walcząc wraz z innymi w szeregach kombatantów, wśród których znajdowało się około 400 jugosłowiańskich artystów, ludzi pióra, dłuta i pędzla. Walka z najeźdźcą hitlerowskim inspirowała tych artystów-kombatantów do twórczości, korzystali oni z każdej przerwy w działaniach wojennych, żeby coś naszkicować lub zapisać.

Rysunki i szkice przedstawiające sceny walk i spustoszeń dokonanych przez hitlerowców, opisujące bohaterstwo kombatantów, los ewakuowanych itp. były materiałem propagandowym, kolportowanym przez kurierów w szeregach armii powstańczej.

Spośród artystów-kombatantów wymienić należy oprócz Kuna i Augustinčića, Sotrę, Prica, Michelića, Detonije, Jakaca, Mujezinovića.

W miarę rozszerzania się terytorium wyzwolonego spod jarzma okupantów, działalność artystyczna plastyków-kombatantów stawała się coraz bardziej urozmaicona. Pirnat organizuje w Słowenii pierwszą akademię dla partyzantów. Božidar Jakac tworzy portrety przywódców rewolucji. Josip Roca i bracia Parać opracowują scenografię dla teatru partyzanckiego, urządzają i dekorują sale konferencyjne i kongresowe. W Bośni w 1941 roku następuje otwarcie wystawy artystów-partyzantów, na terenach wyzwolonych. Lojze Lavrič opracowuje tematy plastyczne do pierwszego teatru marionetkowego.

Bogaty dorobek plastyków jugosłowiańskich, na który składają się rysunki, drzeworyty, ryciny i akwarele mające za temat walkę o wyzwolenie narodowe posiada niejednakową wartość. Są to dzieła zarówno plastyków dojrzałych artystycznie — profesorów akademii, nauczycieli rysunków oraz dobrze świadczonych ilustratorów — jak również twórców młodych, którzy po raz pierwszy, podczas wojny wzięli do rąk ołówek, kredkę, pędzel, rylec czy dłuto.

W okresie czterech lat wojny narodowej z okupantem hitlerowskim poległo 13 artystów-plastyków, 12 zginęło w obozach koncentracyjnych, zaś 19 po dziś dzień nosi odznakę partyzanta za udział w walkach wyzwoleńczych od 1941 roku.

ARYSTARCH

Ivan Copić — matka.

Homo agricola

Tematyka wiejska, niestety, nie zajmuje zbyt wiele miejsca na łamach naszych tygodników społecznych i kulturalnych. Ale ostatnie numery pism przynoszą kilka interesujących pozycji, na które warto zwrócić uwagę. Tak na przykład dwutygodnik „Prawo i życie" (nr 24) zamieszcza artykuł Czesława Tabęckiego „Dziedziczenie gospodarstw wiejskich". Artykuł, którego wywody, jak zaznacza redakcja, mają w części charakter dyskusyjny, nawiązuje do niedawno wydanej ustawy o ograniczeniu podziału gospodarstw rolnych. Ustawa pomimo jej szerokiego zastosowania w stosunkach wiejskich i w swoich założeniach słuszna („ziemia stanowiąca warsztat pracy rolnika, powinna w drodze spadkobrania przypaść przede wszystkim temu spadkobiercy, który na niej gospodaruje...") niestety, jak pisze autor, „nie odznacza się jasnością, jest trudno czytelna nawet dla prawników z dużą praktyką i budzi wiele wątpliwości". Autor starał się wskazać na nasuwające się wątpliwości i dać próbę ich rozwiązania. „Miarodajne rozstrzygnięcie tych wątpliwości, do którego mogą w pewnej mierze przyczynić się także wypowiadane w prasie prawniczej uwagi o charakterze dyskusyjnym, powinno ze względu na potrzeby praktyki notarialnej i sądowej nastąpić jak najszybciej". A to tym bardziej, „iż nowe przepisy dotyczące podziału gospodarstw rolnych mają na celu ochronę interesów społeczno-gospodarczych". Artykuł z pewnością zainteresuje nie tylko prawników.

W ostatnim numerze „Polityki" zabiera głos Juliusz Poniatowski (w okresie międzywojennym minister rolnictwa, od powrotu z emigracji w 1957 r. pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego). W artykule „Granice optymizmu edukacyjnego" Poniatowski podkreśla znaczenie oświaty zawodowej dla rolników. „Jak oddziałać na proces przeobrażenia się rolniczego zawodu, chcąc go szybciej uwspółcześnić i uchronić od chorobliwej fazy dewaluacji i poniewierki"? Autor przyjmuje jako założenia:

„— rolnictwo staje się zawodem równie jak inne związanym z postępem nauki, czyli że wymaga takiegoż poziomu szkolenia,

— nasze rolnictwo, kurcząc się szybko liczebnie, szczególnie jaskrawo domaga się zwiększenia wkładu intelektualnego,

— zacieranie się granicy między pracą fizyczną a umysłową będzie następowało i w tym zawodzie, czyli że obraz przyszłości będzie się coraz bardziej oddalał od modelu: wysoko kwalifikowane kierownictwo i ciemna grupa posłusznych wykonawców,

— wreszcie przywrócenie zawodowi rolniczemu podupadłego prestiżu i otrząśnięcie rolników z narastającego kompleksu niższości będzie wymagało nie tylko wyrównania skali zarobkowej, ale również nasycenia całej grupy społecznej odpowiednim odsetkiem dobrze szkolonych jako tych najodporniejszych na krzywdzące lekceważenie". „Mamy pewność, pisze Poniatowski, że obecne warunki dochodowości rolnictwa umożliwiają dostatnie gospodarowanie tym, którzy zawód rolniczy CENIĄ I WYKONYWAC GO UMIEJĄ".

W ostatnim okresie odbywają się wojewódzkie zjazdy delegatów Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. W Łodzi Zjazd taki miał miejsce w dniach 23 i 24 listopada. Dyskusje zjazdowe rzucają niewątpliwie wiele ciekawego światła na przemiany zachodzące na współczesnej wsi. W przyszłym numerze „Odgłosów" omówimy problematykę zjazdu łódzkiego.

p.

Władysław Rynkiewicz

KONFERENCJA u MECENASA

6

— Dlaczego, u licha, nazywa go pan Cyceronem?

Uśmiechnął się zagadkowo. — Bo i Cycero oskarżał Antoniusza o przestępstwo urojone.

Zdębiałem, zdumiony erudycją Taborskiego, i dopiero po sekundzie skojarzyły mi się „urojone przestępstwa" z osobą Jasia-boksera.

— No, no, widzę, że pan zna pierwszorzędnie historię starożytną? — zauważyłem kostycznie. Powiedział, że po przeczytaniu tamtej broszury, zainteresował się Cyceronem i przeczytał jego biografię, i że to był równie wybitny mówca i polityk, co zręczny krętacz.

— Może ta biografia, którą pan czytał, krzywdzi Cycerona?

— Chyba nie — powiedział. — Petrarka płakał, gdy zapoznał się szczegółowo z życiem Cycerona. Tak dalece idealny obraz, jaki mieli o nim w średniowieczu, odbiegał od rzeczywistości. Mommsen również nazywa go politykiem bez skrupułów.

— No, w polityce, wie pan — powiedziałem.

— Znalazłszy się na liście proskrybowanych — szeptał mi do ucha — uciekał przed Antoniuszem z Italii.

Rozmawialiśmy szeptem, pochyleni, prawie schowani pod pulpitem ławy jak sztubacy, ukryci w ławce szkolnej przed okiem nauczyciela.

— Słucham, niech pan mówi — powiedziałem.

Opowiadał więc, że Cycero uciekał przed Antoniuszem z Italii, ale nie mógł znieść kołysania okrętu, był jakoś specjalnie uczulony na chorobę morską, opowiadał, w końcu musiał prosić, żeby go wysadzili na brzeg. I to go zgubiło. Trafił w ręce żołnierzy. Jakiś centurion uciął mu głowę i ręce, i dostarczył Antoniuszowi do Rzymu. Zdawało mi się, że Taborski się uśmiechnął. Na pewno się uśmiechnął. Jednak pomimo krętactwa, charakterystycznego dla jego kariery adwokackiej i politycznej, opowiadał, Cycero jest oceniany pozytywnie, ponieważ zginął w walce o swe przekonania — zrobił mi krótki wykład. — Historycy uważają, że jego wątpliwe pod względem etycznym życie wypiękniało w świetle tragicznego końca. „Wypiękniało" — wydął pogardliwie wargi. — Uważam, że to jest naciągane.

Spojrzałem na mecenasa w czarnej todze do pięt, w oknie, obróconego do nas plecami.

Woźny wiosłując w pośpiechu wokandą wyszedł na środek sali i zawołał: — Proszę wstać! Sąd idzie!

Przewodniczący i ławnicy w togach plączących się pod nogami weszli na podium. Woźny machnął wokandą.

— Proszę siadać!

Szurgot nóg, rumor, a potem chwila ciszy, podczas której przewodniczący ogłosił urzędowo decyzję o odroczeniu sprawy. I znów hałas i szuranie nogami przez publiczność, która wstała i stojąc czekała, póki przewodniczący z sędziami nie zejdzie z podium i opuści salę.

To już był na dzisiaj koniec. Formalnościom stało się zadość. Prokurator wygładził fałdy togi i podążył w ślad za kompletem sędziowskim. Mecenas uścisnął nam pobieżnie ręce i usprawiedliwiając się, że ma jeszcze do załatwienia różne sprawy w sądzie, wyszedł pośpiesznie bocznym wyjściem.

Publiczność jak w teatrze po skończonym przedstawieniu zaczęła gromadnie opuszczać salę. W drzwiach utworzył się zator. Posuwaliśmy się powoli z Taborskim środkowym przejściem. Za nami tłoczyli się jeszcze maruderzy, wychodzący opieszale z ławek.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw. Odwróciłem i ujrzałem czarną kępkę wąsów przybliżających się do mojej twarzy. — Niech panowie uważają.

— Na co mamy uważać? — zapytałem.

— Na starego Zdunka. Stary

— Niech pan mówi, panie Liberski, co się stało?

Rozejrzał się podejrzliwie po sali. — Stary szykuje się, żeby zrobić awanturę — ostrzegał ściszonym głosem.

— Co za awanturę? Niech pan nie mówi głupstw.

— Awanturę — upierał się. — Odgraża się na panów i na adwokata. Powiada, że adwokat napuścił i że panowie wrobili Jasia.

— Napuścił? Wrobili? — Udawałem, że nie rozumiem.

— Może lepiej, żeby panowie wyszli bocznym wyjściem? — doradzał konspiracyjnie.

Przypomniałem sobie rozmowę w gabinecie mecenasa i szepnąłem Taborskiemu do ucha: — Ten wariat Zdunek gotów wywołać awanturę w sądzie. Może lepiej wyjdziemy bocznym wyjściem?

— Głupstwo — powiedział. — Niech pan nie zwraca uwagi na to, co mówi Liberski.

— Jak panowie uważają — obraził się aparatowy.

Reszty nie dosłyszałem. Tłoczyliśmy się w drzwiach, póki nas nie wypchnięto z sali. Wyszliśmy na korytarz, pełen milicjantów, adwokatów i publiczności, kobiet i mężczyzn, którzy zostali wezwani przez sąd w charakterze osób procesujących się, oskarżonych lub oskarżających oraz ich świadków, i czekali siedząc na ławkach lub podpierając ściany, póki nie otworzą się jedne z wielu ciężkich intarsjowanych drzwi i woźny sądowy z wokandą w ręce nie wywoła ich nazwisk. W rzece głów płynących żółwim tempem szukałem wzrokiem srebrnopopielatej fryzury i zamiast niej (Krystyna prawdopodobnie czekała na Taborskiego na dole w hallu) zobaczyłem pod oknem Jasia-boksera i starego Zdunka o udręczonej twarzy, zeszpeconej bliznami po ospie, w luźnej, fałdującej się, zrudziałej kurtce woźnego. Obie twarze były twarzami ludzi prostych, bez masek, ludzi, którzy nie zawsze potrafili ukryć nurtujące ich uczucia, albo którzy nie widzą potrzeby ukrywania swych uczuć. Jaś-bokser z rozbieganymi oczami wyglądał jakby zszedł z ringu, jeszcze oszołomiony po kilku celnych ciosach, które zainkasował od przeciwnika, nie mogąc jednak chyba zrozumieć, skąd i za co spadły nań tutaj ciosy, ponieważ po raz pierwszy w życiu startował w Pałacu Temidy, i mógł się tylko domyślać, że to jeszcze nie koniec, i że nad jego głową zbiera się burza, wobec której nie pomogą mu jego umiejętności bokserskie, i wobec której jak wobec potężnego żywiołu był bezradny i mógł się czuć zagrożony. Udręczona dziobata twarz starego z opadającymi na czoło włosami (skojarzyłem go z ponurym właścicielem składu opałowego, węglarzem, którym straszono mnie w dzieciństwie, gdy byłem krnąbrny) zaczęła przybierać na nasz widok wyraz napiętej złości. Ale nie spodziewałem się, że stary Zdunek rozpęta awanturę, zanim nas będzie mógł dosięgnąć.

Od razu zrobiło się zamieszanie. Zobaczyłem przekrwione oczy i rozwścieczoną dziobatą, pobladłą twarz z opadającymi na czoło włosami. „Węglarz" wyrósł jak spod ziemi i zaczął wygrażać pięścią i krzyczeć. Z sali sądowej (nie z naszej, z innej) wyszedł woźny z wokandą w ręce wywołując nazwiska świadków. — A to co? Chuligani? — krzyknął woźny, nie ten stary w okularach, w metalowej oprawce (chociaż też stary) z naszej sali; inny. „Węglarz" sam jeden z siłą bawołu napierał na tłum i przepychał się ku nam. Huśtawka głów rozkołysała się jak fala morska. Zostaliśmy wzięci we dwa ognie: z jednej strony tłoczyli się świadkowie, wzywani przez woźnego, z drugiej — torował sobie drogę ku nam szalony człowiek w walce z prawem krzycząc. Co to za prawo, jego słowa tonęły we wrzawie, lecz zrozumiałem, że nie mógł pojąć swym prostym umysłem skomplikowanej jak reakcja chemiczna przemiany prawa w bezprawie.

— Ciszej! Tu sąd, nie knajpa! — Woźny bliżej nas machał ręką z wokandą starając się ugasić tumult. Wówczas czyjaś dłoń wynurzyła się z kłębowiska ramion i głów, spadła na ramię starego Zdunka i wywlokła go trzymając za fałdy marynarki z rozprężającego się, jeszcze nie ogarniętego paniką, lecz już bliskiego popłochu tłumu. „Węglarz" odwrócił się pokazując wyszczerzone zęby jak pies, co gotów kąsać, lecz na widok dyrektora, który trzymał go za ramię, umilkł. Nie przypuszczałem, że Leopold ma w sobie jeszcze tyle siły (pamiętałem go wprawdzie, jak biegał, wdrapywał się na strych i na dach szopy w podwórzu w Sudragach, lecz było to dziesięć lat temu).

Woźnemu z oburzenia zaokrągliły się oczy. — Skandal! Chuligani! — wrzeszczał. Ale nie miał czasu na zgorszenie. Rozdarty pomiędzy powinnością a gniewem, zaczął ponownie, głośno i srogo, z akcentem wojskowej komendy wywoływać świadków.

Castellaz przyparł „Węglarza" do ściany. — Co wy mi tutaj? O co? Co się stało?

Dziobata twarz starego Zdunka poszarzała, dzioby po ospie zrobiły się sine. — O syna. Za co te podejrzenia?

Widziałem zwężone oczy szwagra. — Stary a głupi — mówił przez zęby. — Czy wam nie wstyd? Takie awantury w sądzie.

— A za co te podejrzenia? — „Węglarz" starał się wyszarpnąć rękaw z pięści dyrektora. — Czego oni się go czepiają? Pana by też serce bolało. — Nie potrafił wyrazić ojcowskiej krzywdy. — A przecież świadek mówił, powiada, kłamstwo, my do Zdunka, powiada, nic nie mamy.

— Ciszej! — Castellaz potrząsał „Węglarzem". — Stary a bez rozumu.

— To dlaczego adwokat? — udało mu się wyswobodzić rękę. — Nie patrzą, że robią człowiekowi

Szybkim ukradkowym spojrzeniem obmiótł dyrektora, mnie i tłoczących się przed drzwiami poczekalni ludzi, i cały korytarz, nagi i surowy, bez jakichś tam sztychów czy oleodruków na ścianie, dostosowany w swej sztywnej surowości do rygorystycznych paragrafów i artykułów kodeksu, przeciwko któremu zbuntował się i miał odwagę protestować z żywiołowością prostego człowieka, świadomego swej krzywdy. — Adwokat napuścił. Publicznie powiada, że syn zamordował, powiada, czterech robotników.

Poczułem się zdegradowany przez tę awanturę. Rozumiałem desperacki protest starego robotnika, którego poczucie krzywdy było niewystarczającym orężem w tym gmachu, gdzie przebiegłość adwokacka krzyżowała szpady z wiedzą prawniczą sędziów i prokuratorów.

Zgubiłem Taborskiego i nie mogłem go odnaleźć. Krystyny również nie było w hallu.

Wsiadłem do auta i pojechałem powoli przy chodniku rozglądając się po ulicach, szarych od kurzu węglowego, pyłu i dymu. Męczyła mnie niepewność, czy Krystyna wyszła, żeby zamanifestować, że protestuje przeciwko przemówieniu Falskiego, czy raczej — żeby uniknąć rozmowy ze mną z powodu moich nieskładnych wyjaśnień? A może jej, w ogóle, nie było w sądzie? Zaniepokoiłem się, czy wszystko to, co przeżyłem, nie było moim przywidzeniem, echem moich myśli? Taborski patrzał na mnie tak dziwnie.

Dekawka sunęła powoli z lagodnym szumem. Minąłem plac z gmachem opery i dworzec kolejowy, za którym było widać wieżezbiorniki i kominy z kłębami dymu, tężejącymi na niebie w kształcie apokaliptycznych obłoków, i rezygnując z odnalezienia Krystyny zawróciłem do domu. Wtedy właśnie usłyszałem stuk prawego przegubu w motorze. Nowy wydatek i nowa robota! — pomyślałem klnąc z przewrotnym niezadowoleniem, bo to właśnie był mój relax — naprawa tego starego, wciąż psującego się gruchota.

Wprowadziłem auto do garażu i wąskim chodnikiem z ciosanych kamieni szedłem do sieni. W ciszy, rozbrzmiewającej sennym brzęczeniem owadów, wirujących w słonecznej mgiełce nad rabatami goździków, stokrotek i nasturcji, każde stąpnięcie na bruku odbijało się dobitnym odgłosem kroku marszowego.

— Dzień dobry, panie inżynierze! — Łysina lokatora z pierwszego piętra wyłoniła się z gęstwy czochratych krzaków jak żółkniejąca dynia spośród liści na ogórkowej grzędzie. Amatorskiej pasji emerytowanego kolejarza zawdzięczaliśmy ład nie utrzymany ogródek przed domem. — Nareszcie mamy piękną pogodę. — Sekatorem wskazał na czyste niebo. — A pan tak wcześnie z biura?

— Widocznie pan nie czytuje gazet. — Zatrzymałem się w drżącym cieniu akacji.

Zakłopotany, zbierał palcami drzazgi łodyg z wyszlifowanych ostrzy nożyc.

Poszedłem na górę i otworzyłem drzwi z zatrzasku. Przygłucha gosposia w kuchni nie zauważyła mego powrotu. Cisza w pokojach. Od dnia, w którym przestałem pracować, czułem, jak bym się powoli zaczął obsuwać. Obsuwać w co? Stawiałem kroki w pustce. Dawniej absorbowała mnie praca w fabryce. Nie miałem czasu na rozmyślania, wątpliwości, pytania, na które nie może być odpowiedzi. Chciałem, żeby doba miała dwa razy tyle godzin. Z obowiązkami inżyniera naczelnego łączyło się wiele różnorodnych zajęć, narady w Komitecie, konferencje w Centralnym Zarządzie, obrady w Naczelnej Organizacji Technicznej itd. Wszystko to naraz się urwało. Została tylko przeszłość. Ze ścian spoglądały na mnie uroczyste oblicza dziadka i ojca na pożółkłych ze starości fotografiach, naklejonych na chropowate arkusze passe-partout za szkłem. Zacząłem chodzić po mieszkaniu, wydany na pastwę zimnej uwagi uroczystych starców na fotografiach. Mógłbym zabić czas, gdybym zszedł do garażu i zabrał się do naprawy dekawki, lecz chciałem dopilnować telefonu, żeby przekonać się, czy Krystyna zadzwoni. Z początku sądziłem, że skróciła urlop, żeby zdążyć na termin sprawy, lecz teraz zacząłem podejrzewać, że jakaś inna przyczyna skłoniła ją do powrotu. Zawsze była szalona i miała dziwaczne pomysły. To, co nas kiedyś łączyło, wzięło początek od ekscentrycznej nocnej wizyty, którą mi złożyła przed pięcioma laty. O dziesiątej wieczorem zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę. Rozległ się metaliczny głos kobiecy. Czy to pan inżynier? Tu mówi Adamska z laboratorium.

W przerwie, jaka nastąpiła w rozmowie, usłyszałem brzękliwe dźwięki jakichś instrumentów, zgiełk rozmów, a potem znów głos panny Adamskiej: — To się nie da powiedzieć przez telefon.

— W takim razie będziemy musieli odłożyć naszą rozmowę do jutra.

— Kiedy to bardzo pilna sprawa — zapewniała mnie.

Znów nastąpiła przerwa, lecz już nie było słychać muzyki tylko szum wentylatora, oklaski i wrzawę.

— Czy nie mógłby pan przyjść do „Egzotycznej"? — zaproponowała.

— Do „Egzotycznej"? — wykrzyknąłem. — Moje zgorszenie było silniejsze od rozsądku. — Pani tam często bywa?

— Nie. To jest... Ale,

— To jest lokal, w którym zbierają się chuligani i dziewczęta wątpliwej konduity.

— Być może, ale czy to ma znaczenie?

— Rzeczywiście — połapałem się i spojrzałem na zegarek.

— Ale o tej porze, o ile mi wiadomo, już zamykają.

— Tak. Właśnie zestawia ją krzesła. Widzę, że najlepiej zrobię, jeżeli przyjdę do pana. Czy pan słucha?

— O tej porze? Przepraszam, czy rozmawiam z panną Adamską z Sudrag?

d. c. n.

PLASTYCZNY IMPORT ze SZCZECINA

Dwunastu szczecińskich plastyków wystawiających swe prace w Ośrodku Propagandy Sztuki zaprezentowało łódzkim widzom wszystkie trzy gatunki plastyczne. Ale... prace Sławomira Lewińskiego, jedynego rzeźbiarza w tej grupie, nie mogą zachwycić. Są nijakie i brak im własnego wyrazu. Ale... grafika poza Jerzym Baszkowskim (wstrząsający cykl szpitalny) przynosi albo nieciekawe malunki w stylu Młodożeńca albo różnie nijakie próby abstrakcji.

Pozostała grupa artystów wystawia już tylko prace malarskie. Organizatorzy bardzo chytrze umieścili przy wejściu obrazy Edmunda Witkowskiego. Piszę „bardzo chytrze", ponieważ prace tego malarza są bezsprzecznie najlepsze w całym sprowadzonym do Łodzi szczecińskim imporcie. Artysta zatrzymał się w swojej twórczości niejako między abstrakcją a malarstwem przedstawiającym i efekty są naprawdę bardzo ciekawe. Przykładem tu może być „Zima w lesie" czy choćby zielono opalizująca „Brda".

Niestety, dalej następuje rozczarowanie. Kolorowe plamy na płótnach Ziemowita Szumana, abstrakcyjne „deski" Kosińskiej czy nawet architektura Harmacińskiej malowana w lekko kubistycznej manierze — niewielu zwiedzającym może się podobać. Oczywiście, wartości dekoracyjne poszczególnych prac mogłyby zostać z pewnością wykorzystane przy różnych okazjach. Ale naprawdę prace tego typu zgromadzone na sali wystaw muszą budzić sprzeciw. Nie miejsce tu na rozprawę o abstrakcjonizmie — wypada jednak zachować umiar w eksponowaniu prac tego rodzaju, nie reprezentujących na dodatek najwyższych osiągnięć.

I tu dotykamy sedna rzeczy. Prace szczecińskich plastyków nie mówią nic nowego, są powielaniem starych metod i manier, są po prostu kalką przez kogo innego zdobytych osiągnięć.

Dobrze jest być zorientowanym w twórczości innych regionów, dobrze jest znać twórców ze Szczecina, Wrocławia, Poznania, ale w tym systemie poznawania musi istnieć jakaś metoda.

Wystawiali niedawno w warszawskiej „Zachęcie" łódzcy realiści. Oceniono ich prace bardzo wysoko. I nic dziwnego — ta grupa jest na pewno ciekawa twórczo i wnosi wiele nowego do współczesnego malarstwa. Ale w Łodzi, łódzcy malarze nie wystąpili całą grupą ze swoimi pracami. Łódzki widz — paradoks — musiałby jechać do stolicy, aby zobaczyć interesujące obrazy. „łódzkiej szkoły realistów".

Łódzki widz natomiast bez trudu może podziwiać przeciętnych abstrakcjonistów ze Szczecina. I jakież z tego wnioski?

Zwracamy UWAGĘ

informacje i zaczepki

❖ Tygodnik „Polityka" swój ostatni numer poświęcił w dużej części Ziemi Łódzkiej. Wśród wielu bardzo ciekawych materiałów znajdujemy także publikacje łódzkich dziennikarzy: Henryka Pawlaka o folklorze, Władysława Udalskiego o szkoleniu rolników, Haliny Żyżki o Żychlińskich Zakładach M-1. Łódzką część numeru „Polityka" otwiera wywiad z I sekretarzem KW PZPR, tow. Stefanem Jędryszczakiem.

❖ Już po raz drugi Łódzka Wytwórnia Papierosów otrzymała sztandar przechodni, zdobyty w ogólnopolskim współzawodnictwie między wytwórniami papierosów. Łódzka Wytwórnia produkuje jak wiadomo „Giewonty" — te właśnie „Giewonty", których tak często brak i które są coraz gorsze. Smutne to, ale prawdziwe i prasa nieraz już problem jakości „Giewontów" podnosiła. Możemy się tylko pocieszać, że wśród złych papierosów tej marki, te łódzkie są jeszcze stosunkowo najlepsze.

❖ Red. Konrad Turowski z łódzkiego „Expressu" otrzymał niedawno decyzją władz centralnych Aeroklubu PRL dyplom honorowy za propagowanie zagadnień lotnictwa sportowego. Warto dodać, że w bieżącym roku inny dziennikarz „Exoressu", red. Waldemar Uchman brał udział w lotniczym zlocie dziennikarzy organizowanym także przez Aeroklub PRL.

❖ Studencki Teatr Satyry „Pstrąg" zajął na ogólnopolskim festiwalu amatorskich teatrów poezji trzecie miejsce. Cieszymy się z tego wyróżnienia i szczerze gratulujemy, ale wzdychamy z lezką: gdzież te czasy, kiedy „Pstrąg" zagarniał poważniejsze nagrody na poważniejszych festiwalach?

❖ Niedawno odbył się w Łodzi występ Paula Anki. Kolejki po bilety były oczywiście dość długie, ale na koncercie, o dziwo, nikt nie rzucał częściami garderoby i nie demolował widowni. Odmieniło tę naszą młodzież, czy co? A może oddziałali na entuzjastów rozróby milicjanci, których widzieliśmy więcej niż zazwyczaj?

❖ Aż do Pekinu pojechały tkaniny artystyczne (gobeliny, kilimy) z Łódzkiego Muzeum Historii Włókiennictwa. 25 pięknych prac współczesnych artystów oglądać będą Chińczycy przez cały grudzień. Łódzka kolekcja nie stanowi jednak odrębnej wystawy, lecz wchodzi w skład ekspozycji pn. „Polskie tkaniny dekoracyjne".

❖ Już wiosną rozpocznie się przy ul. Andrzeja Struga 63 budowa wielkiej drukarni akcydensowej. Autorem bardzo ładnego, pełnego nowoczesnych rozwiązań projektu jest inż. Z. Pągowski.

J. W.

Antoni Żukowski, Jerzy Kamas, Barbara Połomska i Zbigniew Niewczas w jednej ze scen.

KRYSTYNA WOJTASIK

„SZKOŁA OBMOWY"

Motorem intrygi jest w tej sztuce — wbrew pozorom i tytułowi — pieniądz. Nad komedią Wojciecha Bogusławskiego zaciążył w tym względzie zapewne jej angielski pierwowzór pióra Richarda Brinsleya Sheridana. No bo spójrzmy: Karol adoruje starościankę tylko ze względu na jej imponujący posag, jest jedynie zdolny, i to w sposób nieco patologiczny, do kochania tzw. dóbr materialnych, które zdobywa w sposób niezupełnie godny dżentelmena. W jego matrymonialnych machinacjach pomaga mu Susceptowicz, mętna figura, mający na uwadze przede wszystkim zarobienie przy tej okazji paru dukatów a dopiero w dalszej perspektywie romans ze starościanką, już jako panią Karolową. Jej ojciec z kolei, sam cieszący się młodą i ładną żoną, której potrzeby i zachcianki jest w stanie zaspokoić dzięki pokaźnym zasobom pieniężnym (podejrzewamy, że inaczej starościna nie byłaby starościną) uparcie swata córkę z Karolem lekceważąc przy tym jej gorące uczucia dla Walerego. Karol jest zamożny, Walery — goły. Prawdziwe cechy charakteru obu braci są jeszcze staroście nieznane. Ujawniają się one dla niego dopiero z chwilą pojawienia się stryja. Ten stryj Bogacki, najbardziej może przez Bogusławskiego spolszczona postać pierwowzoru, ucharakteryzowana przez ojca sceny narodowej na poczciwego Sarmatę-choleryka, zawdzięcza siłę swej atrakcyjności dla obu synowców oczywiście, posiadanemu majątkowi, którym zamierzają ich obdarzyć. I obdarza — Walerego. Wowczas starosta zezwala na małżeństwo zakochanych (którzy, co ciekawe, w ciągu całej sztuki nie zamieniają ze sobą prawie ani słowa). Dopiero wtedy, W innym wypadku, po skompromitowaniu się Karola, poszukałby zapewne innego zamożnego kandydata dla swej jedynaczki.

W ten sposób krąg się zamyka. A obmowa? Zajmują się nią postacie drugorzędne (poza Karolem), które, czuje się to, autor wprowadził na scenę wyłącznie w tym celu, aby stanowiły żywa ilustrację mechanizmu powstawania i działania plotki. To pani Plotkiewiczowa i pani Wydrzyźniałska, doktor Recepta i wierszopis Ramota (ach, te wiele mówiące nazwiska!) mają za zadanie ukazać publiczności całą śmieszność i szpetotę atmosfery gęstniejącej plotki, złośliwej, zawistnej lub po prostu głupiej.

Musiała być równie silnie rozpleniona i równie dokuczliwa ta cecha obyczajowa w ówczesnym światku szlachecko-arystokratycznych modnisiów warszawskich, jak i londyńskich, jeśli Bogusławski uznał za stosowne zaadaptować dla polskiej sceny sztukę Sheridana. Uczynił to z pasją. I dzięki temu właśnie mniej nas dziś razi jej jawny i nieco natrętny dydaktyzm, a bardziej wzrusza zaangażowanie adaptatora w doniosłą sprawę moralnego szkolenia rodaków. Bogusławski uznawał jedynie teatr walczący, teatr-trybunę, który w okresie Sejmu 4-letniego stał się trybuną rzeczywistą dla idei postępu. Dowodem tego m. in. wystawienie „Powrotu posła" Niemcewicza, kiedy to po raz pierwszy w Polsce doceniono wagę działania słowa padającego ze sceny.

Tych wyżyn „Szkoła obmowy", oczywiście, nie sięga. Jest tylko zjadliwą komedią obyczajową, która dziś nieoczekiwanie oblekła się w kształt uroczego przez swą staroświeckość i wcale nienudnego (wbrew przypuszczeniom) widowiska w Teatrze Powszechnym. Chwała za to reżyserowi — Jerzemu Waldenowi — i aktorom (prawie wszystkim), którzy bardzo starannie opracowali tę kartkę z historii polskiego teatru, w czym niewątpliwa korzyść dla młodzieży szkolnej, z myślą o której spektakl został przygotowany.

Znów urokiem i wdziękiem w roli starościny błysnęła Barbara Połomska, której z umiarem i stylowo partnerował, jako jej sceniczny mąż, Antoni Żukowski. Z iście sarmackim rozmachem wcielił się w stryja Bogackiego Janusz Mazanek. Mniej natomiast powiodło się obu jego synowcom Waleremu czyli Jerzemu Kamasowi, zabrakło pewności siebie i żołnierskiej bravury, która zapewne tak bardzo oczarował starościankę (Alicja Knast), Karol zaś w interpretacji Zbigniewa Niewczasa nie przekonał nas o tym zupełnie, że jest obłudnym nikczemnikiem. To raczej Susceptowicz (Mirosław Szonert) był wszystkimu winien, a nie ten fajtłapa Karol. Udaną galeryjkę charakterystycznych typów, czy raczej typków stworzyli Halina Pawłowicz, Ewa Zdzieszyńska i Ryszard Żuchowski. Każde z nich plotkowało we właściwy sobie sposób, ale wszyscy z jednakowym zapałem.

Dekoracje Antoniego Uniechowskiego poprzez swój delikatny i jakby tylko lekko piórkiem naszkicowany rysunek stanowią jedyny element nowoczesności tego widowiska, nie kolidujący jednak z jego tradycyjnym kształtem.

Teatr Powszechny: „Szkoła obmowy" Wojciecha Bogusławskiego wg. R. Sheridana. Reżyseria: Jerzy Walden, scenografia: Antoni Uniechowski.

JAN KOPROWSKI

ludzie i książki

OBIAD z Johnem Steinbeckiem

W piątek, 22 listopada, przyjechał do Łodzi John Steinbeck. Czekaliśmy na jego przyjazd z niemałym zaciekawieniem. Czytaliśmy jego książki, widzieliśmy w kinach film „Na wschód od Edenu", a w Teatrze Ludowym Nowej Huty piszący te słowa oglądał doskonałe przedstawienie „Myszy i ludzi". Wiemy, jakich ludzi opisuje Steinbeck w swoich powieściach, jakie są jego obsesje pisarskie, znamy jego styl i problematykę jego utworów. Teraz pragniemy się dowiedzieć, jaki jest on sam. Co to za człowiek? Jak wygląda, jak mówi i jak się zachowuje? Czy jest milczący czy rozmowny, dowcipny czy ponury, przystępny czy odpychający?

I oto siedzimy razem przy stole: pisarze, przedstawiciele Uniwersytetu, działacze kultury. John Steinbeck nie lubi oficjalności, wielkich mów i akademijnej celebracji. Jest prosty, bezpośredni, z ujmującym poczuciem humoru. Te same przymioty posiada jego żona, towarzysząca mu w podróży. Oboje tworzą harmonijną parę przyjaciół.

Wzajemna prezentacja, początkowe nawiązywanie rozmowy, toast za zdrowie znakomitego pisarza. Pierwsze lody przełamane. Zresztą nie były to żadne lody. Atmosfera z miejsca staje się przyjazna i serdeczna. Przyglądamy się Steinbeckowi, zadajemy mu pytania. Więc: kiedy odniósł pierwszy sukces literacki, czy zna jakieś powieści polskie, czy i jakie dostrzega różnice między ZSRR a Polską, czy dużo czyta, kto jest jego ulubionym pisarzem, co sądzi o młodej dramaturgii amerykańskiej? Steinbeck lubiący „krótkie pytania i długie odpowiedzi", mówi chętnie, pochylając się nad stołem.

— Długo musiałem czekać na sukces. Pierwsze moje cztery powieści minęły zupełnie bez echa. Krytyka nie zwróciła na nie żadnej uwagi. Dopiero powieść „Tortilla Flat" przyniosła pierwsze oznaki zainteresowania moją twórczością. Miałem wtedy 36 lat. Ale prawdziwy sukces odniosła moja piąta książka „In Dubious Battle", a „Myszy i ludzie" ugruntowały moją pozycję jako pisarza i stały się nawet bestsellerem.

Steinbeck przekazuje naszemu związkowi „Tortilla Flat" z dedykacją („For Lodz Writers Union"). Można się z niej sporo dowiedzieć o autorze, gdyż poprzedza ją nota o pisarzu, a także uroczy wstęp samego Steinbecka o źródłach inspiracyjnych książki. Szkoda, że nie przetłumaczono na język polski „In Dubious Battle", choć nie można narzekać na brak tłumaczeń Steinbecka.

— Jeśli Josepha Conrada można zaliczyć do literatury polskiej, to czytałem waszego pisarza. Najbardziej podoba mi się jego „Murzyn z załogi Narcyza".

Wyrażamy zdziwienie: jak to, więc nie „Lord Jim" i nie „Jądro ciemności"?

Steinbeck: — Nie. „Lord Jim" zawsze mi się wydawał powieścią zanadto żeglarską. Natomiast „Murzyn" jest bardziej uniwersalny. Ja w każdym razie tak to odczuwam. Conrad pisał po angielsku, ale inaczej niż autorzy angielscy. Wnosił coś nowego. Pewnie są to właśnie pierwiastki polskie. W młodości czytałem również „Chłopów" Reymonta. Wrażenie było duże, ale nie umiałbym podać żadnych szczegółów z tej lektury. Zatarły się całkowicie w mej pamięci.

Wymieniamy między sobą poglądy na Conrada. Nie ma takiego spotkania literackiego, gdzie by wcześniej lub później nie „zahaczono" o niego. Conrad — dla jednych sumienie, dla innych wyrzut sumienia — od lat intryguje pisarzy polskich i obcych. Tak już będzie wciąż. W każdym pokoleniu i w każdym czasie. Ktoś z obecnych uderza leciutko w stół. Aha — nowy toast. John Steinbeck słucha, przechylając głowę, a potem pije razem z nami.

Znowu mówi: — Po ZSRR podróżowałem kilka tygodni, u was jestem dopiero kilka dni. Byłem w Krakowie i Wrocławiu, z Łodzi jadę do Warszawy. Ale różnice między tymi dwoma krajami są zdaje się, niemałe.

Do rozmowy włącza się żona pisarza: — We Wrocławiu wysłuchaliśmy półgodzinnego przemówienia. Przemówienie z pewnością było dobre, ale zdaje się, że trochę przydługie. W Krakowie krytycy pospierali się między sobą, co miało swój wdzięk.

Krytyka literacka za najambitniejsze osiągnięcia Steinbecka uważa „Grona gniewu" i „Na wschód od Edenu". Co do mnie lubię szczególnie tę drugą powieść. Steinbeck wypowiedział w niej swój sąd o naszej epoce. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania małego fragmenciku: „Rodzaj ludzki jest jedynym rodzajem twórczym i posiada jedyne twórcze narzędzie: indywidualny umysł i duch człowieka. Nic nigdy nie zostało stworzone przez dwóch ludzi. Nie ma dobrej współpracy czy to w muzyce, czy w sztuce, w poezji, matematyce czy filozofii. Kiedy już się dokonał

cud tworzenia, grupa może go rozbudować i rozszerzyć, ale nigdy niczego nie tworzy. Skarb ten spoczywa w samotnym umyśle człowieka".

Ale oto odzywa się pisarz. Czytam dużo, lecz trudno by mi było podać nazwiska ulubionych autorów. W młodości miałem ich kilku. W miarę upływu czasu zmieniają się nasze upodobania. Z młodej generacji amerykańskiej za talent znakomity uważam Edwarda Albee. Obecnie przebywa on w Moskwie, a stamtąd wybiera się do Pragi. Nie wykluczone, że przyjedzie również do Polski. Jest to wielka nadzieja amerykańskiego dramatopisarstwa. Jego najnowsza sztuka jest podobno rewelacyjna.

Jeszcze pytania, jeszcze odpowiedzi, podpisywanie dedykacji na książkach — i musimy kończyć nasz sympozjon. Steinbeck podnosi się zza stołu. Jest wysoki, opiera się na lasce, chodzi z pewnym trudem. Mruży oczy i uśmiecha się. Co tu gadać: bardzo sympatyczny pisarz i człowiek.

Potem jedzie do Łódzkiego Domu Kultury na spotkanie z publicznością. Ale o tym pisały już gazety codzienne.

KSIĄŻKA NIEMIECKA

Przez dwa tygodnie eksponowana była w Klubie MPiK wystawa niemieckiej książki. Wystawę zorganizował Ośrodek Informacji i Kultury NRD w Warszawie; stanowiła ona przegląd najciekawszych pod względem edytorskim pozycji niemieckich wydawców z lat 1960—62.

Wśród 355 książek eksponowanych w KMPiK znajdziemy zatem m. in. 9-tomowe wydanie dzieł Henryka Heine, znajdziemy śliczne, barwne publikacje dla dzieci (przyciąga tu wzrok choćby książka pt. „Bei uns in der Stadt"), znajdziemy książki z różnych dziedzin techniki, jak choćby tę o sposobach i metodach barwnego druku. Wśród eksponowanych pozycji sporo jest tłumaczeń z innych języków — głównie z rosyjskiego. Wyróżnia się ładnie wydany tom wierszy Stiepana Szczipaczowa, czy znana powieść Ostrowskiego „Jak hartowała się stal".

No i wreszcie sztuka, malarstwo. Niemieccy wydawcy przodują w tego rodzaju publikacjach. Nic dziwnego, że największe zainteresowanie wzbudziły właśnie bogato ilustrowane barwnymi reprodukcjami książki o sztuce. A więc duży album „Alt-Peru", o sztuce peruwiańskiej, a więc album Konrada Onascha „Ikonen".

Zainteresowanie wystawa wzbudziła ogromne — niektórzy nauczyciele przyprowadzali tu ze sobą całe klasy, poza tym wiele osób zamówiło sporo pozycji. Obok wyżej wymienionych popularnością cieszył się wśród nabywców duży album „Olimpiada w Rzymie 1960". Wystawa nie miała charakteru kiermaszu i, jak się rzekło, książki można było tylko zamówić. Nie jest to chyba najlepsze rozwiązanie strony handlowej, zwłaszcza, że ewentualni nabywcy zamawiali niejako „w ciemno" nie znając nawet... cen.

Niezależnie od tego drobnego mankamentu wystawa niemieckiej książki była na pewno pożyteczną i potrzebną imprezą. Warto także pomyśleć chyba o zapoznaniu łódzkiego widza z osiągnięciami edytorskimi innych krajów. Wiadomo na przykład, że bardzo piękna i ciekawa jest produkcja wydawnictw radzieckich i czechosłowackich. Chętnie byśmy podobne wystawy obejrzeli.

J. W.

odgłosy TYGODNIA

Kawiarnia wychowuje?

Często narzekamy na nasze łódzkie kawiarnie i restauracje. Raz, że zła obsługa, że mały wybór konsumpcyjny, że brudno. Dwa — hałas, nieestetyczne wnętrze, itd. itd. Bóg wie, czego nie wymyśli wybredny konsument. Czasami ma rację, jednak w wielu wypadkach młodzi bywalcy kawiarni lub restauracji, po wypiciu kilku kieliszków wina lub wódki, stawiają obsłudze lokalu zupełnie bezpodstawne zarzuty. Zgadzam się, z uzasadnionym hasłem: Klient — nasz pan, ale bez przesady. Ci „wymagający" panowie, to często wyrostki i dziewczęta mający zaledwie 17 lat. Z młodzieńczych głów „paruje", lecą epitety i nieuzasadnione roszczenia, a okoliczne zegarki zgodnie wskazują godz. 22. Pamiętamy przecież, że młodzieży do lat 18, wolno przebywać w kawiarni do godz. 20. Szczególnie teraz, gdy kilka łódzkich kawiarni otwartych jest do północy, należy konsekwentnie przestrzegać niniejszego zarządzenia. W wielu wypadkach ułatwi to pracę obsłudze lokalu, jak również wykluczy ewentualne nieporozumienia placówki z Kuratorium Okręgu Szkolnego naszego miasta. Ryzykuję twierdzenie, że obsługa kawiarni jest wychowawcą swojej klienteli, a szczególnie młodzieży. „Jaki Pan, taki kram" — mówi przysłowie. I to jest prawda. Najlepszym przykładem personel znanej i popularnej kawiarni „Cyganerii". Lokal czynny jest do godz. 24. Czytelnik, nie spotka w tej kawiarni po godz. 20 młodzieży nie mającej 18 lat. Oczywiście, zdarzają się wypadki, ale sporadyczne. Obsługa lokalu grzecznie, ale stanowczo żegna do następnego dnia, swych młodych gości. Nie ma wrzasku i głośnych okrzyków, często spotykanych w tzw. młodzieżowych „knajpkach". Zasługa personelu i starszych bywalców kawiarni. Nie widzi się pijanych osobników, zakłócających spokój konsumującym. „Cyganeria" współpracuje z Dzielnicowym Frontem Jedności Narodu. Wspólnie zostają analizowane problemy młodzieżowe, wspólnie zwalczają alkoholizm wśród młodych bywalców kawiarni. Okazuje się, że kawiarnia to nie tylko „winna knajpka", jak twierdzą niektórzy. To coś więcej! Tej postawy personelu „Cyganerii" można pozazdrościć i pogratulować. Żeby tak wszystkie kawiarnie...

Ekspansja łódzkiej piosenki

Od dłuższego czasu obserwujemy intensywny kurs na polską piosenkę, co można łatwo stwierdzić słuchając nagrań płytowych, radia czy nawet orkiestr w lokalach rozrywkowych. Na tej właśnie „fali" coraz większe uznanie zdobywają sobie piosenki, których twórcami są łódzcy autorzy i kompozytorzy. Po sukcesach takich piosenek jak „Honoratka" i „Autostop" Marczewskiego i Machejki, „Listonosze" Gwoździa i Markiewicza oraz przede wszystkim „Parasolki" Hertla i Słowikowskiego na szerokie forum publiczne wkraczają następne łódzkie piosenki. W najbliższym czasie orkiestra Polskiego Radia pod dyrekcją Henryka Debicha nagra z czołowymi piosenkarzami polskimi (sukces jest tym większy, że repertuar jest zawsze zatwierdzany „centralnie") osiem piosenek, których autorami są Gwóźdź, Giegier, Żuk, Majewski, Jaśkiewicz, Słowikowski, Debich, Marczewski i Hertel. Przy okazji: byłoby bardzo dobrze, gdyby Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Łódzkie Towarzystwo Muzyczne pomyślały o wydaniu zbiorku piosenek o tematyce łódzkiej i piosenek łódzkich autorów. Byłaby to, jak się nam wydaje, nieoceniona pomoc dla licznych zespołów estradowych i solistów cierpiących na chroniczny brak rodzimego repertuaru.

„Estrada" na Węgrzech

Reprezentacyjny zespół łódzkiej „Estrady" z nagrodzonym na ogólnopolskim festiwalu programem „Tele-fortele", w reżyserii Mieczysława Stefańskiego, na który składają się niemal wyłącznie utwory łódzkich literatów i kompozytorów, po wielu już zagranicznych wojażach podbija następne kraje. W listopadzie zespół ten (Oganowska, Sawin, Pniewski, Stefański i kwintet muzyczny „Koliber" pod przewodnictwem dyrektora Estrady Tadeusza Sutta) wyjechał na dwutygodniowe tournee po Węgrzech. Warto zaznaczyć, że większość tekstów satyrycznych została przełożona na język węgierski i doskonale opanowana — co stwierdzają przedstawiciele węgierskiej estrady — przez wykonawców. W dniu 18. XI. w Segedzie — stolicy węgierskiego włókiennictwa, miasta, które pozostaje w przyjaznych stosunkach z Łodzią — odbyła się premiera węgierska tego programu. W następnej kolejności zespół łódzkiej „Estrady" da występy w kilku innych miastach oraz 6 przedstawień w Budapeszcie.

Czekając na autobus

Chcąc dostać się do ulicy Królewskiej trzeba jechać tramwajem na Chojny (do przejazdu), a następnie autobusem ul. Rzgowską do ul. Michała. Był poniedziałek 18 listopada. Na ulicę Królewską dostałem się stosunkowo szybko. Około 12 miałem wrócić do Śródmieścia. O godzinie 12.15 stanąłem na przystanku autobusowym (róg Rzgowskiej i Michała). Czekało już tutaj kilka osób. Po paru minutach zauważyłem nadjeżdżający autobus nr 54. Przemknął obok przystanku i zniknął w oddali. Czekający obok mnie nie okazali ani zdziwienia, ani zniecierpliwienia. Widocznie zdarza się to często — pomyślałem otulając się szczelnie płaszczem. Minęło kilkanaście minut i naszym oczom ukazał się autobus nr 67. Siedziało w nim tylko kilka osób, ale autobus nie zatrzymał się na przystanku. Przejechał dalej i stanął w odległości około 150 metrów. Ludzie z przystanku rzucili się biegiem w jego stronę. Podtrzymując jakąś staruszkę ruszyłem i ja. Nie przebyliśmy nawet pół dystansu dzielącego nas od autobusu, kiedy ten ostatni ruszył zostawiając oprócz mnie i staruszki jeszcze kilka osób, które nie zdążyły dobiec. Wszyscy zgodnie wróciliśmy na przystanek. Powyższy obrazek powtórzył się jeszcze kilkakrotnie. Autobusy nr 54 i 67, albo nie zatrzymywały się wcale, albo w odległości 100—150 metrów. Widziałem jak dwie kobiety objuczone dość pokaźnym bagażem dogoniły stojący w oddali autobus, ale ten ruszył i jedna z nich spadła ze stopnia rozsypując wszystkie pakunki. Dopiero o godzinie 13.30 udało mi się wsiąść do autobusu (staruszka wcześniej zrezygnowała i wróciła do domu). Nie wiem, czy podobne wypadki zdarzają się często na przystanku przy ulicy Michała. Sądząc jednak z wypowiedzi czekających na autobus, nie był to wypadek odosobniony. Ciekaw jestem jak długo jeszcze ludzie mieszkający za przejazdem na ul. Rzgowskiej, będą uzależnieni od kaprysów kierowców autobusów nr 54 i 67.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

Utalentowany aktor młodego pokolenia, od pierwszych swoich artystycznych kroków związany z Łodzią. Tu ukończył w 1958 roku PWST, następnie zadebiutował w Teatrze Nowym rolą Janka w „Moście" Szaniawskiego.

Prawdziwie bogatym sezonem stał się dla Płoszaja dopiero sezon 1960-61, w którym już na deskach Teatru Powszechnego — grał m. in. Julka w „Kwiatach łódzkich", Henryka w „Grubych rybach", Hazdrubala w „Drodze do Rzymu", największy sukces odnosząc jako Mick w „Przed maturą". Nawiasem mówiąc i spektakl i sama rola podobały się bardzo w czasie gościnnych występów Teatru Powszechnego w Pradze.

Obecnie Zbigniew Płoszaj powrócił do Teatru Nowego, gdzie w inaugurującym sezon spektaklu „Księżniczka Turandot" gra z powodzeniem rolę Kalafa.

Tekst i zdjęcie:

GERARD PUCIATO

ZBIGNIEW PŁOSZAJ

Czyn na dwudziestolecie

Organizacja ZMS w Piotrkowie jako jedna z pierwszych w kraju, podjęła apel Ogólnopolskiego Komitetu Współpracy Organizacji Młodzieżowych. W tyle nie pozostały jednak inne powiatowe i miejskie Komitety ZMS w naszym województwie. Mający się odbyć 22 lipca 1964 roku Zlot Młodzieży Polskiej w Warszawie poprzedzi powszechny czyn młodzieży na XX-lecie PRL. Hasło apelu OKWOM: „Powszechnym czynem młodzieży czcimy dwudziestolecie" stanowi ideową podstawę wszystkich przyjętych dotychczas i nadal przyjmowanych programów. Przystępując do czynu XX-lecia, Komitet Wojewódzki ZMS w Łodzi postanowił ogłosić okres od miesiąca listopada do Zlotu Młodzieży okresem przedzlotowego współzawodnictwa między grupami działania ZMS w zakresie — produkcji oraz inicjatyw produkcyjnych, dalszego rozwoju socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Brygady, które posiadają tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej przystąpią do walki o tytuł BPS im. XX-lecia PRL. Nastąpi dalsza obniżka kosztów produkcji poprzez oszczędność materiałów, surowców, energii i paliwa na jednostkę produkcyjną. Specjalny nacisk współzawodnictwo przedzlotowe kładzie na podnoszenie wydajności pracy, wprowadzanie usprawnień technicznych, pełne wykorzystanie mocy produkcyjnych. Wszystkie brygady młodzieżowe przystąpią do założenia Wart XX-lecia. Zobowiązania przedzlotowe szeroko uwzględniają masowy czyn społeczny. Każda organizacja powiatowa i miejska wybuduje jeden obiekt „czynu XX-lecia". Komitet Wojewódzki ZMS wspólnie z Komendą Chorągwi ZHP obejmuje patronat nad budową Wojewódzkiego Ośrodka Sportów Wodnych w Głownie. Ośrodek ten będzie nosił imię: „Młodzieżowego Czynu XX-lecia PRL".

W zakresie rozwoju wiedzy ogólnej i kwalifikacji zawodowych najcenniejszym zobowiązaniem jest skierowanie wszystkich członków organizacji ZMS, nie posiadających pełnego wykształcenia podstawowego, na kursy dokształcające.

Nastąpi też dalszy rozwój Uniwersytetów Robotniczych ZMS: w Piotrkowie, Radomsku, Tomaszowie i Zduńskiej Woli powstaną nowe UR, zaś w czterech miejscowościach: Sieradzu, Zelowie, Głownie i Ozorkowie — ich filie.

Aby do wiosny?

W jednym z poprzednich numerów „Odgłosów" opublikowana została notatka zatytułowana „Dowcipnisie", mówiąca o sytuacji mieszkańców ulicy Kapitulnej. Nota kończyła się słowami: „Należy więc oczekiwać nowych meldunków z placu boju". A więc mieszkańcy ul. Kapitulnej informują o dalszym rozwoju sytuacji. Zasypano rowy, spychacz zniwelował teren i rozpoczęto wytyczanie nowej ulicy. Robotnicy rozpoczęli układanie nawierzchni i nagle na jakieś 100 m od ulicy Rzgowskiej prace utknęły. Najistotniejszy ostatni odcinek ulicy przypomina krajobraz księżycowy. Samochody MPO nadal nie mogą dojechać, sterty śmieci rosną (teraz nie ma już gdzie ich wysypać), zapaszek nabiera mocy, mieszkańcy marzną, bo węgla nie sposób dowieźć, a na dodatek są jeszcze narażeni na skręcanie nóg z chwilą zapadnięcia mroku, gdyż ulica nie jest zbyt dobrze oświetlona.

Skłamalibyśmy jednak, mówiąc, że nasza notatka nie dała żadnego rezultatu. Wręcz przeciwnie. Błyskawicznie niemal... zmieniono znak drogowy. Na miejscu znaku zakazu ruchu wraz z ową tablicą z napisem „Nie dotyczy pojazdów w celach gospodarczych" ustawiono znak zakazu ruchu, już bez tablicy.

Ciekawi jesteśmy, co po tej notatce nastąpi? A może przedsiębiorstwo zdoła oddać ulicę do użytku jeszcze przed zimą?

do druku podał St. Chruściewski

KARIERA KRÓLA AKTORÓW POLSKICH ZACZĘŁA SIĘ W ŁODZI

Władysław Rabski był publicystą, dramaturgiem i tłumaczem wielu sztuk teatralnych. Pisywał zajmujące i świetne kroniki w „Kurierze Warszawskim", podpisując się „Kaprys", poza tym był krytykiem teatralnym. Jako recenzent odznaczał się nierównością i dużym temperamentem. Podczas premiery, gdy mu się coś podobało, wpadał za kulisy pełen zachwytu, sypał komplementami, unosił się nad sztuką i grą aktorów, a na drugi dzień umiał zrąbać sztukę i aktorów. Wszystko zależało od usposobienia. W 1901 r. artysta dramatyczny Henryk Grubiński objął dyrekcję teatru łódzkiego. Postawił teatr na bardzo wysokim poziomie artystycznym. Na każdą premierę przyjeżdżali do Łodzi krytycy z różnych miast Polski, m. in. i Władysław Rabski. Grubiński, chcąc jak najbardziej zainteresować swoim teatrem publiczność i krytykę, zaprosił na występy świetnego artystę Kazimierza Kamińskiego. Rabski po premierze z Kamińskim napisał w „Kurierze Warszawskim" entuzjastyczną recenzję, a w niej zdanie: „Łódź jest w porównaniu z Warszawą małą mieściną, a gości u siebie tak wielkiego artystę, jakim jest Kamiński, Warszawa zaś taka duża, a nie może się zdobyć na takiego świetnego artystę". Dyrekcja teatrów warszawskich, czytając takie pochwały, zaprosiła Kamińskiego na występy do Warszawy. Pierwszy jego występ odbył się 24 maja 1904 r. w sztuce Zygmunta Kaweckiego „Dramat Kaliny". Publiczność i prasa przyjęła świetnego artystę nadzwyczajnie.

ZDZISŁAW KONICKI

Rozszerzajmy kręgi miłośników Łodzi

Co prawda, tuż przed 1939 rokiem były nieśmiałe próby pracy towarzystwa miłośników Bałut, Łodzi, Chojen — jednak grupy ówczesnych działaczy nie znajdowały wspólnego języka z szerokimi kręgami społeczeństwa. Wysiłki ludzi oddanych swemu miastu jak np. prof. dr R. Rembielińskiego czy M. Goldmana były pracą syzyfową. Działalność Towarzystwa Przyjaciół Łodzi podjęta w 1959 roku daje właściwe wyniki — jakich należy oczekiwać od tego rodzaju stowarzyszeń społeczno-regionalnych. Trudna praca prezesa TPŁ posła E. Ajnenkiela polega m.in. na koordynacji sił, środków i zamierzeń, zespalaniu wszystkich poczynań 17-osobowego Zarządu TPŁ, jego Sekcji, Szkolnej Organizacyjno-imprezowej, Wydawniczej, Odczytowej Klubów — Miłośników Teatru, czy Przyjaciół Literatury. Sekundują mu w tym dzielnie tacy działacze TPŁ, jak Gemel, Lipiński, Zabłocka, Jagoszewski, Rolbiecki, Rudnicki, Ogłaza, Kaczmarek, a ruchliwym sekretariatem TPŁ kieruje sprawnie H. Skawińska.

Cała uwaga działaczy TPŁ, jego różnych sekcji skierowana jest od kilku lat na kształtowanie i rozwijanie zainteresowań intelektualnych i upodobań estetycznych związanych z naszym miastem. Służą temu — atrakcyjny ruch turystyczno-krajoznawczy inspirowany i prowadzony przez TPŁ, ciekawe konkursy dla młodzieży, na rysunek o Łodzi, plakat łódzki, gazetki ścienne, czytelnictwo książek o Łodzi, bogaty program spotkań z ludźmi teatru łódzkiego, kultury łódzkiej. Głównym hasłem działalności TPŁ jest dewiza — „Nic co łódzkie nie jest nam obce". Nie ograniczono się na przykład tylko do ochrony zabytków fabrycznej, starej Łodzi, choć i na tym polu TPŁ posiada osiągnięcia, ale Towarzystwo stara się zajmować wszystkimi zagadnieniami społeczno-kulturalnymi obchodzącymi nasze miasto. Jest to chyba powodem, że nasze Towarzystwo stało się prężne i żywotne, stale wzrastające w liczbę członków, a nie dotowane przez nikogo posiada na swym społecznym koncie kilkaset tysięcy złotych — uszczuplanych ostrożnie, głównie dla celów wydawniczych, a poprzez potrzebne i ciekawe łódzkie książki — wzbogaca zasób wiedzy o mieście, jego kulturze i pracy. Ostatnio w TPŁ dyskutuje się pracę świetlic łódzkich, do których dotarcie — rozszerzy z pewnością kręgi miłośników Łodzi!

Przy takiej okazji, jak 4-ta rocznica istnienia TPŁ, obchodzona w szerokim gronie aktywistów, zwykle w lokalu Klubu Dziennikarzy, warto przypomnieć, iż TPŁ od początku jest „dzieckiem prasy łódzkiej" i do tej pory cieszy się jej właściwym poparciem, dzięki czemu, informacja o wszelkich ciekawych i pożytecznych poczynaniach dociera szybko i sprawnie do wszystkich łodzian.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa" Łódź, Żwirki 17.
Zam. 3635. XII. 63. K-4